

Aleksander Dumas

PAULINA

ROZDZIAŁ I

Pod koniec roku 1834 zeszliśmy się wieczorem jednej soboty w małym saloniku, przylegającym do sali fechtunkowej Grisiera, słuchając z floretem w rękę i cygarem w ustach, uczonych teorii naszego profesora, przerywanych od czasu do czasu anegdotkami, zastosowanymi do okoliczności. Wtem, drzwi się otworzyły i ukazał się w saloniku Alfred de Nerval.

Kto czytał opis moich podróży po Szwajcarii, przypomni sobie młodego człowieka, towarzyszącego tajemniczej, zawsze zawoalowanej kobiecie, którą po raz pierwszy spotkałem w Fluelen, gdy razem z Franciszkiem spieszyłem do łódki, by nią dopłynąć do kamienia Wilhelma Tella. Czytelnik przypomni sobie, że Alfred de Nerval, razem z którym miałem odbyć moją wycieczkę, wyprzedził mnie i odbił właśnie od brzegu w chwili, gdy byłem już od niego oddalony zaledwie o trzysta kroków, dając mi ręką znak przyjacielskiego pożegnania, które również mogłem sobie wytłumaczyć tymi słowami: „Przepraszam cię kochany przyjacielu, byłbym ci towarzyszył z wielką przyjemnością... ale nie jestem sam i...” Na to odpowiedziałem innym gestem, który miał znaczyć: „Doskonale cię rozumiem...” Zatrzymałem się, skłoniłem na znak zezwolenia, sam jednak niezadowolony, bo nie mając ani łódki, ani przewoźników, nazajutrz dopiero mogłem odbyć projektowaną wycieczkę. Powróciwszy do hotelu, zapytałem czy znano tu kobietę, z którą odpłynął Alfred? Odpowiedziano mi, iż wiadome było tylko to, że nosiła imię Pauliny i była bardzo cierpiąca.

Zupełnie już zapomniałem o tym spotkaniu, kiedy zwiedzając gorące źródła w Pfeffers, ujrzałem Alfreda de Nerval, prowadzącego pod rękę młodą kobietę, widzianą już w Fluelen, która i tym razem zdawała się pragnąć zachować zupełne incognito. Na mój widok cofnęła się, lecz, niestety, ominąć mnie nie mogła. Droga, którą postępowaliśmy, była rodzajem mostku złożonego z dwóch mokrych i śliskich tarcic, położonych wzdłuż muru podziemnego, wzniesionego o jakie czterdzieści stóp ponad przepaścią, wśród której wody Tamizy uderzały

z łoskotem i szumem o swe czarne marmurowe łożysko. Tak więc tajemnicza towarzyska mego przyjaciela osądziła, że wszelka ucieczka jest niemożliwa i zapuściła też szybko woalkę na twarz i tak zasłonięta z wolna się ku mnie zbliżała.

Opowiadałem już, jakie wrażenie wywołała wówczas na mnie ta kobieta, blada i lekka jak cień, postępująca bez trwogi nad brzegiem przepaści, jak gdyby już nie należała do tego świata. Alfred chciał, aby przeszła sama, lecz nie puściła jego ramienia, tak że wkrótce znaleźliśmy się wszyscy troje na szerokości dwóch stóp; chwila ta jednak minęła jak błyskawica. Szczególna istota, podobna do rusalki igrającej pianą wodospadu, nachyliła się nad przepaścią i przesunęła się jak cień ponad nią, nie dość jednak szybko, bym nie mógł dostrzec jej twarzyczki spokojnej, słodkiej, choć bladej i wynędzniałej cierpieniem. Wówczas to zdawało mi się, iż nie po raz pierwszy ją widzę; w umyśle moim obudziło się niepewne wspomnienie, jak gdybym widział ją, dziś tak bladą i zmienioną, dawniej jaśniejącą zdrowiem, okrytą kwiatami, płasającą radośnie przy dźwiękach muzyki. Gdzie?... nie wiedziałem; kiedy?... na to pytanie również odpowiedzi znaleźć nie mogłem. Było to widzenie, sen lub wspomnienie, które dziś nikło jak mgła.

Powróciłem do hotelu, pragnąc koniecznie raz jeszcze ją zobaczyć, chociaż czułem, iż było to z mej strony prawie niegrzecznością. Nieznajomej jednak ani Alfreda nie zastałem już w kąpielach w Pfeffers.

W dwa miesiące po tym drugim spotkaniu, znajdowałem się w Baveno, przy Lago Maggiore.

Był to piękny jesienny wieczór. Poza łańcuchem Alp niknęło słońce, wschód nieba jaśniał już tysiącem gwiazd. Okna mego pokoju wychodziły na taras pokryty kwiatami. Zeszedłem tam i znalazłem się wśród gaju oleandrów, mirtów i pomarańcz. Nie ma nic miłszego nad kwiaty, gdziekolwiek się je spotka — w ogrodzie, w polu lub w lesie; dziecię, kobieta czy też mężczyzna, zrywa je i nic zadawalając się ich widokiem, wonią ich nasycić się pragnie. Nie mogłem i ja

oprzeć się pokusie; zerwałem kilka pachnących gałązek, oparłem się o balustradę z różowego granitu i spojrzałem na jezioro, od którego oddzielał mnie szeroki gościniec, prowadzący z Genewy do Mediolanu. Księżyc ukazał się od strony Sesto, a światło jego zaczynało właśnie oświecać wierzchołki gór i odbijało się w spokojnym, cichym wód przezroczu; milczenie otaczało mnie wokoło: ziemia, jezioro i niebo — milczały... Noc rozpoczynała swój bieg smętny i wspaniały. Wkrótce pośród grupy drzew, otaczających jezioro, rozległy się harmonijne i rzewne tony słowiczej pieśni. Przez chwilę drżały w powietrzu przezyste, miarowe tony i rozsypały się w isticie srebrzystą kaskadę dźwięków... Był to jedyny odgłos wśród cichej, uspiętej natury. Powoli jednak z dala inny znów odgłos doszedł do mego ucha. Zdawało mi się, że słyszę turkot powozu, toczącego się od strony Doma d'Ossola. Słowik na nowo rozpoczął swoją pieśń i pochłonął nią całą moją uwagę. Gdy zamilkł, posłyszałem na nowo odgłos szybko zbliżającego się powozu. Mój dźwięczny sąsiad rozpoczął raz jeszcze swą nocną modlitwę: lecz tym razem zaledwie wygłosił ostatnią nutę, na zakręcie drogi ukazał się powóz pocztowy, unoszony przez dwa dzielne konie; na drodze prowadzącej do hotelu, o dwieście kroków ode mnie, pocztylion silnie trzasnął z bata, tym sposobem dając znać koledze o swym przybyciu.

Wkrótce brama się otworzyła i nowy powóz wyjechał, w chwili gdy nadjeżdżający zatrzymał się przy balustradzie tarasu, o którą byłem oparty.

Noc, jak wspomniałem, była piękna, pogodna i cicha, podróżni, widocznie chcąc użyć przyjemności nocnego chłodu, kazali spuścić firanki powozu. Było ich dwoje, mężczyzna i kobieta okryta szalem czy płaszczem, z głową pochyloną w tył, oparta na ramieniu młodego człowieka. W tej chwili pocztylion wyszedł, niosąc w ręku zapaloną latarnię. Przy blasku światła poznałem Alfreda i Paulinę.

— Zawsze ona i zawsze ona!

Zdawało się, iż siła ważniejsza niż przypadek popychała nas ku sobie.

— Zawsze ona! lecz jakaż blada; umierająca, cień prawie; a jednakże ta

twarz zmieniona przypominała mi niepewny obraz kobiety, która żyła w mojej pamięci, i za każdym ukazaniem jakby wydobyć się chciała na powierzchnię, prześlizgując się w mych myślach, jak w marzeniach Osjana.

Chciałem już wymówić imię Alfreda, przypomniałem sobie jednak, jak bardzo towarzyszka jego pragnęła być nie poznana i zatrzymałem się. A jednak, uczucie takiej serdecznej litości pociągało mnie ku niej, iż zapragnąłem dać jej poznać, że jest ktoś, co modli się Bogu, by dusza jej drżąca nie opuszczała jeszcze wdzięcznego ciała, którego życiem była. Wziąłem bilet wizytowy i napisałem na nim ołówkiem:

Niech Bóg czuwa nad podróżnymi, pociesza zasmuconych i leczy cierpiących.

Włożyłem go w środek bukietu z mirtu, róż i kwiatów pomarańczy i rzuciłem do powozu. W tej chwili pocztylion odjechał, nie dość prędko jednak, bym nie dojrzał Alfreda pochylającego się ku latarni dla przeczytania mego bileciku. Zwrócił się ku mnie, dał znak ręką i powóz zniknął za węglem domu.

Odgłos odjeżdżających ucichł, nie przerwany tym razem śpiewem słowika. Zbliżyłem się do krzaków; czekałem całą godzinę, oparty o balustradę tarasu... Na próżno. Wówczas smutne opanowały mnie myśli; wyobraziłem sobie, że ów ptak śpiewający swoją pieśń pożegnalną, to dusza młodej dziewicy, żegnającej ziemię, że kiedy on przestał śpiewać, ona zapewne opuści tę ziemię.

Cudowne położenie hotelu umieszczonego u skraju Alp, przy granicy Włoch; obraz cichy i ożywiony jeziora Lago Maggiore z jego trzema wyspami, z których pierwsza istnym jest ogrodem, druga wdzięcznym siołem, a trzecia pałacem; pierwsze śniegi pokrywające wierzchołki gór i ostatnie upały jesieni wiejące od Morza Śródziemnego; wszystko to zachęciło mnie do dłuższego pobytu w Baveno. Przebyłem tam tydzień jeszcze, potem udałem się do Arona, a stamtąd do Sesto Calende.

Tam oczekiwało mnie już ostatnie wspomnienie Pauliny; tam zgasła gwiazdka jej życia, tam postać jej lekka o grób potrafiła.

Młodość zniszczona, piękność zwiędnięta, serce złamane, wszystko to pochłonął grób, zamknięty tak tajemniczo nad trupem jak gęsty woal zasłaniający twarz młodej kobiety za życia, pozostawiając jedynie dla zaspokojenia ludzkiej ciekawości, wyryte na kamieniu imię; Paulina.

Poszedłem grób ten odwiedzić, a wznosił się on w prześlicznym ogrodzie, na wzgórzu ocienionym krzewami, na pochyłości wzgórza, położonego tuż nad jeziorem. Było to późnym wieczorem; kamień grobowy odbijał się białą przy jasnym świetle księżyca; usiadłem przy nim, starając się zebrać wszystkie rozpierzchłe o młodej kobiecie wspomnienia; i tym jednak razem pamięć wypowiedziała mi posłuszeństwo. W niekształtnej mgle rozplywały się one — nie mogłem zgłębić tajemnicy. Odtąd myśl o tej dziwnej istocie odpychałem od siebie i udawało mi się aż to do dnia, w którym spotkałem znów Alfreda de Nerval.

Łatwo można pojąć, jakie myśli opanowały mój umysł na ten niespodziewany widok. W jednej chwili przypomniałem sobie wszystko: łódź mknącą po jeziorze, most podziemny, podobny do przedsionka piekieł, gdzie podróżni zdają się być cieniami; mały zajazd w Baveno, u stóp którego przejechał powóz żałobny, na koniec kamień biały, gdzie przy blasku księżyca, wśród gałązek mirtu, pomarańczy i różowych oleandrów można było odczytać imię Pauliny.

Pobiegłem do Alfreda jak człowiek, który od dawna zamknięty w podziemiu, biegnie ku drzwiom, przez które wciska się promień światła. Uśmiechnął się smutnie, ściskając moją rękę, jak gdyby chciał powiedzieć, że mnie rozumie. Cofnąłem się, gdyż przyszło mi na myśl, że Alfred, mój przyjaciel od lat piętnastu, weźmie za prostą ciekawość uczucie, które mnie ku niemu popychało.

Alfred był jednym z najlepszych uczniów Grisiera; mimo to jednak od lat

trzech nie widziano go w sali fechtunku. Ostatni raz był tu w wigilię pojedynku, który miał odbyć nazajutrz i do którego chciał cokolwiek przygotować rękę. Od tego czasu Grisier go nie widział, słyszał tylko, że opuścił Paryż i zamieszkał w Londynie.

Grisier, dbały niezmiernie o reputację swoich uczniów, poznał wtedy jego przeciwnika, równego mu siłą, młodego Labattuta, który potem wyjechał do Włoch i w Pizie znalazł grób samotny.

Po trzecim starciu, floret Labattuta trafił w rękojeść broni przeciwnika, osunął się, złamał i rozdarł rękaw od koszuli, na której krew się pokazała. Labattut rzucił floret, pewien, że zranił Alfreda.

Szczyściem, było to lekkie draśnięcie. Podniósł rękaw i powyżej ranki ukazał się ślad kuli pistoletowej, która musiała mu przeszyć mięśnie ramienia.

— Patrzcie! — zawołał Grisier — nie pamiętam tej rany.

A znał nas przecież tak dobrze, jak mamka dziecię, które karmi; znał historię każdej najmniejszej blizny na ciele swych uczniów. Gdyby chciał, mógłby niezawodnie napisać niejedną ciekawą a skandaliczną opowieść o dziejach różnych pojedynków i ich przyczynach; narobiłoby to jednak tyle hałasu w buduarach i salonach, że prawdopodobnie wyczytamy je dopiero w pamiętnikach po jego śmierci.

— Tę ranę — odpowiedział Alfred — otrzymałem na drugi dzień po ostatniej mej u ciebie bytności; tegoż samego dnia wyjechałem do Anglii.

— A przestrzegałem cię, abyś do pojedynku nie używał pistoletów! Szpada jest bronią szlachcica, szpada jest najszacowniejszą relikwią, jaką historia zachowała po wielkich ludziach, którzy byli chwałą ojczyzny; mówi się — szpada Karola Wielkiego, szpada Bajarda, szpada Napoleona... Czyście słyszeli mówiących kiedy w ten sposób o pistolecie? Pistolet jest bronią rozbójnika; z pistoletem u czoła zmuszają do fałszowania podpisów; z pistoletem w ręku zatrzymują w głębi lasu przejeżdżających; pistoletem bankrut odbiera sobie życie... pistolet... to broń pospolitych. Szpada to co innego; szpada to

towarzyszka, powiernica, przyjaciółka człowieka; ona może bronić jego honoru albo też go pomścić.

— Ślicznie! — powiedział uśmiechając się Alfred — ale jakiej to broni użyłeś przed dwoma laty w owym pamiętnym pojedynku?

— Ja co innego! Ja muszę się bić w co zechcą; jestem mistrzem fechtunku, a przy tym są pewne okoliczności, w których musimy przystać na warunki, jakie nam podyktują.

— Ja też właśnie w takim byłem położeniu, kochany Grisier i, jak widzisz, wcale niezgorzej wyciągnąłem się z tej biedy.

— Tak!... z kulą w ramieniu?

— Zawsze to lepiej niż z kulą w sercu.

— Jakiż był powód pojedynku?

— Przepraszam cię, kochany Grisier, lecz cała historia jest jeszcze tajemnicą; później dowiesz się o niej.

— Paulina — szepnąłem.

— Tak — odpowiedział mi.

— Ale, że dowiemy się kiedyś, daj słowo — odrzekł Grisier.

— Z pewnością, na dowód czego zabieram z sobą Aleksandra, któremu dziś wieczorem opowiem wszystko; pewnego pięknego poranku, kiedy już żadnej ku temu nie będzie przeszkody, przeczytasz o tym w jakim tomiku zatytułowanym „Szare” lub „Błękitne powieści!” Do tego jednak czasu musisz czekać cierpliwie.

Grisier rad nierad musiał pogodzić się z losem.

Dziś, gdy ze śmiercią matki Pauliny zniknął ostatni wzgląd, nakazujący mi milczenie o dziejach tego nieszczęśliwego dziecięcia, o dziejach tak nieprawdopodobnych, a jednak prawdziwych... dziś, śmiało powiedzieć mogę to, co wówczas zwierzył mi Alfred.

ROZDZIAŁ II

Nareszcie znaleźliśmy się sami w saloniku Alfreda. Oczekiwałem z niecierpliwością na wyjawienie tajemnicy, która już przed trzema laty żywo budziła moją ciekawość.

Po chwilowym namyśle, Alfred tymi słowy rozpoczął swoje opowiadanie.

— Przed kilku laty udałem się do Normandii, do kąpieli morskich w Trouville, pomimo zatrważających wieści, jakie z tej prowincji od pewnego czasu dochodziły do Paryża, o tajemniczych morderstwach popełnianych z niesłychaną zręcznością przez bandę rozbójników. Podczas mojej bytności w Trouville, opowiadano między innymi o pewnym poborcy z Point-Eocyn, który odwożąc do Lisieux 12 000 franków, został w drodze zamordowany, a ciało jego wrzucono do rzeki. Jednak sprawcy tej zbrodni nie zostali odkryci, pomimo energii paryskiej policji, która zaniepokojona tymi rozbojami, wysłała na miejsce zbrodni najzręczniejszych swoich agentów; wypadki te napępiały trwogą i przerażeniem cichą i spokojną Normandię. Przyczyny ich zdawały się tak tajemnicze i niepojęte, że nie wiedziano, gdzie ich szukać. Tylko opozycyjne dzienniki składały wszystko na kark rządu. Przyznaję, niewiele dawałem wiary opowiadaniom, które wyglądały raczej na tajemnicze dramaty wąwozów Sierra Morena lub skalistych gór Kalabrii, niż na dzieje bogatych wzgórz i żyznych dolin Pont Audemar, ożywionych mnóstwem wsi, zamków i folwarków. Rozbójników wyobrazić sobie mogłem jedynie w lesie lub jaskini; w trzech zaś sąsiednich departamentach nie ma ani śladu jaskini, ani jednego zagajnika, który by zasługiwał na nazwę lasu.

W końcu jednak zmuszony byłem uwierzyć w prawdziwość krążących wieści. Bogaty jakiś Anglik, jadący z żoną z Hawru do Alençon, został zatrzymany o pół mili od Dives; pocztyliona związanego wrzucono do powozu w miejsce uprowadzonych podróżnych, a konie znające miejscowość, przybyły same do Ranville i zatrzymały się przed pocztą. Chłopiec stajenny, otwierając

bramę, znalazł powóz i w nim związanego pocztyliona. Zaprowadzono go natychmiast do mera, gdzie zeznał, iż czterech zamaskowanych ludzi w ubraniu brudnym i zniszczonym, zatrzymało powóz i uprowadziło Anglików. On chciał się bronić i wystrzelił, wkrótce jednak potem dały się słyszeć jęki i krzyki; pocztylion nie widział nic, gdyż leżał twarzą na ziemi; wkrótce potem związano go i wrzucono do powozu, w którym przyjechał prosto do zajazdu, dzięki wybornemu instynktowi koni. Wysłano natychmiast żandarmów na miejsce wskazane, gdzie też w istocie znaleziono leżące w rowie przebite pugiuałem ciało Anglika. Co do jego żony, nie znaleziono żadnego po niej śladu. Nowy ten wypadek miał miejsce o 10 czy 12 mil od Trouville; ciało przywieziono do Caen. Chociaż byłbym niedowiarkiem takim jak św. Tomasz, niepodobna już było dłużej wątpić.

W trzy lub cztery dni po tym wypadku, w wigilię mego odjazdu, umyśliłem po raz ostatni zwiedzić miejsca, które opuszczałem; kazałem przygotować statek, który najmowałem miesięcznie, a widząc, że niebo jest czyste i pogoda prawie pewna, kazałem sobie przynieść nad brzeg obiad, papier i ołówek, i rozwinąwszy żagiel sam jeden popłynąłem na umyśloną wycieczkę.

— Przypominałem sobie — przerwałem — że zawsze miałeś marynarskie zachcianki, przypominam twoje spacery łódką amerykańską pomiędzy mostem Zgody a Tuilerie.

— To prawda — mówił uśmiechając się Alfred. — Tym jednak razem o mało życiem takiej zachcianki nie opłaciłem: z początku wszystko szło dobrze; miałem małą łódkę rybacką o jednym żaglu, którym doskonale mogłem kierować i w przeciągu trzech godzin zrobiłem osiem czy dziesięć mil, gdy nagle wiatr ustał, nastąpiła cisza i ocean wygładził się jak tafla zwierciadlana. Byłem właśnie wprost ujścia Orny, mając z prawej strony płaszczyny Langrun i skały lionńskie, z lewej ruiny jakiegoś opactwa, należącego do zamku Burcy; był to piękny krajobraz, który chciałem skopiować. Ściągnąłem żagle i zabrałem się do roboty.

Nie wiem, jak długo byłem zajęty, gdy nagle poczułem na twarzy gorący powiew wiatru, który jest oznaką zbliżającej się burzy; morze zmieniło kolor, z zielonego stało się ciemnoszare, błyskawica przecięła horyzont, niebo pokryło się czarnymi, groźnymi, podobnymi do łańcucha gór chmurami; nie było chwili do stracenia, podniosłem żagiel i skierowałem łódkę ku Trouville, płynąc ku brzegom, aby w razie niebezpieczeństwa mieć ląd w bliskości. Zaledwie jednak upłynął ćwierć mili, żagiel zaczął silnie uderzać o maszt; spuściłem go, gdyż nie dowierzałem tej zwodniczej ciszy morskiej.

Istotnie, w kilka chwil potem, wiatr zaczął gwałtownie zmieniać kierunek, morze zaczęło się kołysać, huk piorunu dał się słyszeć, była to przestroga nie do pogardzenia. Rzeczywiście też burza zbliżyła się szybko. Zdjąłem ubranie, wiosła wziąłem do rąk i skierowałem się ku brzegom.

Byłem jednak od nich o całe dwie mile oddalony; szczęściem była to godzina przyływu i chociaż wiatr był przeciwny, a chwilami ustawał zupełnie, bałwany popychały mnie ku brzegom. Ja ze swej strony dokazywałem cudów, wiosłując z całych sił, jednakże burza nadchodziła szybko i w końcu dogoniła mnie. Na domiar złego noc się zbliżyła; miałem jednakże nadzieję, że wyląduję zanim się ściemni zupełnie.

Straszną przeżyłem godzinę; łódka moja rzucana jak łupina orzecha, wznosiła się i opadała wraz z bałwanami. Wiosłowałem jednak ciągle; wiedziałem nareszcie, że tracę na próżno siły, rzuciłem wiosła w głąb łódki obok masztu i żagli, zdjąłem resztę wierzchniego ubrania, aby nie zawadzało w nurtach i chciałem rzucić się w morze, aby dopłynąć do brzegu. Lekkość jednak łódki ocaliła mnie; kołysząc się lekko jak korek, nie nabrała ani kropelki wody; lękałem się tylko, aby się nie rozbiła o skały; już zdawało się, że uderza, lecz uczucie to było tak szybkie i lekkie, iż nabrałem nadziei. Ciemność była tak głęboka, że o dwadzieścia kroków nic nie widziałem; nie mogłem więc dojrzeć, jak daleko byłem od brzegu. Nagle doświadczyłem nagłego wstrząśnienia; nie mogłem wątpić — łódka uderzyła, lecz czy o skały, czy o mieliznę, nie

wiedziałem. Nowy bałwan unosił mnie gwałtownie i miotał przez kilka minut łódką, na koniec popchnął ją naprzód, a gdy morze się cofnęło, osiadła na piasku. Zabierając ubranie, wyskoczyłem, miałem wodę po kolana i zanim nowy bałwan, wielki jak góra, zbliżył się, byłem już na brzegu.

Rozumiesz, iż nie traciłem czasu. Włożyłem palto i szybko postępowałem naprzód. Wkrótce poczułem pod stopami żwir, oznaczający granicę przyływu i znów o parę kroków natura gruntu się zmieniła, szedłem po wysoko rosnących ziołach nad brzegiem morza, byłem więc ocalony.

Jakież przepyszny widok przedstawia morze oświecone światłem błyskawic, podczas burzy. Zamęt, chaos i zniszczenie, zdaje się panować nad wszystkim, jak gdyby Pan Bóg pozwolił morzu buntować się przeciwko sobie i bałwanom walczyć z błyskawicami. Ocean zdaje się wtedy pasmem gór ruchomych, których szczyty dosięgają chmur krainą przepaścistych dolin. Za każdym uderzeniem pioruna błękitne wężykowate światełko przebiegało powierzchnię głębi i ginęło w przepaściach roztwierających się i zamykających co chwila. Cudownemu temu widokowi przypatrywałem się z trwogą i ciekawością zarazem. Vernet, chcąc go widzieć, kazał przywiązać się do masztu; patrzył i przyglądał się na próżno; pędzel ludzki nigdy nie potrafi oddać tej przerażającej siły, wspaniałego i straszego gromu grozy. Byłbym może stał noc całą nieporuszony, patrząc i słuchając, gdyby nie grube krople deszczu, które ocuciły mnie z zadumy.

Było to w połowie października, mimo to noce były już chłodne i musiałem koniecznie myśleć o jakimś schronieniu. Przypomniałem sobie ruiny dostrzeżone z łodzi, które powinny znajdować się w tej stronie. Zacząłem wstępować na wzgórze, gdy z dala ukazywały się mury, w których mogłem się ukryć. Przy świetle błyskawicy dojrzałem szczątki kaplicy, znajdowałem się więc w klasztorze. Wyszukawszy miejsce najmniej zniszczone, usiadłem pod kolumną, zdecydowany czekać dnia, bo nie znając miejscowości, nie wiedziałem, gdzie się udać. W czasie moich polowań w Wandei i w Alpach,

niejedną już noc gorszą od tej przepędziłem; jedna rzecz mnie tylko niepokoiła: uczułem głód i przypomniałem sobie, że od dziesiątej rano nic w ustach nie miałem, lecz — o radości! macając się po kieszeniach, znalazłem bułeczkę, w drugiej zaś flaszkę koniaku, którego dobra moja gospodyni włożyć mi nie zapomniała. Była to wyśmienita kolacja, zupełnie zastosowana do okoliczności, w jakich się znajdowałem.

Zaledwie ją ukończyłem, uczułem miłe ciepło rozchodzące się po zdrętwiałych członkach; myśli moje ożywiły się, uczułem potrzebę spoczynku i snu, a okrywszy się paltotem, oparty o słup, wkrótce zasnąłem, ukołyszany świstem wiatru i szumem bałwanów, odbijających się od brzegów morza.

Spąłem już ze dwie godziny, kiedy nagle zostałem przebudzony odgłosem zamykających się ciężkich drzwi. Otworzyłem oczy, zdziwiony powstałem szybko i z instynktowną ostrożnością skryłem się poza filarem. Na próżno jednak patrzyłem wokoło; nie widziałem nic, nic nie słyszałem, mimo to miałem się na baczności, przekonany, że hałas, który mnie przebudził, był rzeczywistością, nie zaś urojeniem.

ROZDZIAŁ III

Burza uspokoiła się, a choć niebo pokryte było jeszcze czarnymi chmurami, księżyc od czasu do czasu przebijał się i swymi bladymi promieniami oświecał ziemię. Korzystając z jednej takiej chwili, rozejrzałem się wokoło. Byłem widocznie wśród ruin jakiegoś opactwa. Z prawej i lewej strony dojrzałem rząd podtrzymywanych arkadami korytarzy; naprzeciwko zaś połamane kamienie, leżące na płask wśród rosnącego zielska, wskazywały mały cmentarz, gdzie dawni mieszkańcy opactwa spoczywali po trudach i zachodach życia u stóp kamiennego krzyża; zrzuty i połamany w kawałki wizerunek Chrystusa leżał na ziemi.

Jest rzeczą dowiedzioną, że wpływy fizyczne wywierają silny wpływ na

wrażenia duszy. W wigilię tego dnia walczyłem ze straszliwą burzą, przybyłem zziębnięty do ruin samotnych i nieznanych, zasnąłem zmęczony i rozdrażniony; wkrótce potem obudził mnie dziwny i niezwykajny w takiej samotności szelest. W dodatku znajdowałem się w miejscu, które od dwóch miesięcy było teatrem morderstw i kradzieży trapiących Normandię. Sam, bez broni i w usposobieniu takim, które nie dozwala odurzonym władzom umysłu odzyskać całej ich energii, mimo woli przypomniałem sobie, słyszane przy gawędach wieczornych, dzieje rozbojów i morderstw. Przypomniałem je sobie i zasnąć już nie mogłem. Oparty o słup, stałem nasłuchując ciekawie. Byłem przekonany, że hałas ten przez ludzi był spowodowany, rozglądałem się bacznie wokoło i oczy utkwilem w zagłębione drzwi, z których najprawdopodobniej ktoś wyszedł przed chwilą. Co chwila zamierzałem się zbliżyć do nich i przekonać się, czy nie posłyszę jakiego szelestu, który by mógł wyjaśnić moje wątpliwości; lecz, aby tam dojść, trzeba by było przejść przez miejsce jasno oświetlone blaskiem księżyca. Na tę myśl ogarnęła mnie trwoga. Wszak w ruinach nie tylko ja jeden mogłem szukać schronienia. I inni ludzie mogli się tam ukryć, choć widzieć ich nie mogłem; jednak po upływie kwadransa, widząc, iż nic nie przerywało ciszy, skorzystałem z pierwszej chwili, gdy księżyc skrył się poza chmury, aby przejść kilkadziesiąt kroków, które mnie dzieliły od zagłębienia. Z wolna zacząłem postępować, zatrzymując oddech, nadśluchując za każdym krokiem. Doszedłem do korytarza, trzymając się muru, postąpiłem jeszcze kilka kroków i znalazłem się przy schodach prowadzących do podziemia; przeszedłszy trzy schody, dotknąłem się drzwi.

Przez dziesięć minut słuchałem na próżno i powoli zacząłem wątpić, sądząc, że słyszany odgłos był owocem rozbudzonej wyobraźni. Zacząłem wierzyć, że w tej chwili byłem jedynym mieszkańcem ruin, dających mi schronienie. Miałem już odejść, gdy księżyc na nowo oświecił całą przestrzeń, oddzielając mnie od miejsca poprzednio zajmowanego; pomimo tego chciałem iść dalej. Wtem wielki kamień oderwał się od gzymsu i upadł przed moimi nogami.

Zadrzałem. Wziąłem to za przestrożę nieba, nie poszedłem dalej, lecz zatrzymałem się jeszcze w cieniu. Nagle wydało mi się, że w głębi podziemia słyszę poza sobą jakiś daleki odgłos, podobny do odgłosu zamykających się drzwi. Wkrótce dały się słyszeć szybkie kroki. Zbliżały się coraz to wyraźniej, widocznie wchodzono na schody. W tej chwili księżyc się skrył za chmury. Jednym skokiem wbiegłem na korytarz i cofając się tyłem z rękami założonymi, z okiem zwróconym w zagłębienie, które opuszczałem, doszedłem do opiekuńczej kolumny i zająłem swe miejsce.

Po chwili ten sam szcęk otwierającego się zamka, który mnie przebudził, dał się słyszeć, drzwi się otworzyły i zamknęły, wyszedł z nich jakiś człowiek, zatrzymał się chwilę, jakby nadsluchując. Cisza jednak zupełna uspokoiła go widocznie; wszedł na korytarz. W tej samej chwili księżyc skrył się za chmury. Człowieka straciłem z oczu.

Po chwili znów się rozjaśniło. Wtedy na rogu cmentarza znów ujrzałem nieznanego, z rydlem w ręku, wyrzucił kilka szpadli ziemi; rzucił jakiś przedmiot, którego poznać nie mogłem, i dla zatarcia wszelkich śladów, przykrył go kamieniem grobowym. Obejrzał się znów wokoło, postawił rydel przy jednej z kolumn i zniknął pod sklepieniem. Wszystko to trwało chwil kilka; mimo to jednak, ponieważ scena, którą ci opowiadam, odegrana była o kilkanaście kroków ode mnie, widziałem, że tajemniczy człowiek mógł mieć lat dwadzieścia osiem, był średniego wzrostu i blond włosów. Ubrany był jak wieśniak w szatach świątecznych, zawieszony jednak przy boku nóż myśliwski, w bogatą rękojeść oprawny, wskazywał aż nadto, że było to tylko przebranie. Twarz nieznanego zrobiła na mnie takie wrażenie, że byłem pewien, iż raz widziana nie wyjdzie nigdy z mej pamięci. Pojmujesz dobrze, że wszystko, czego byłem świadkiem, odpędziło sen z moich powiek; pozostałem więc, stojąc pogrążony w myślach tysiącznych, postanawiając zgłębić tę tajemnicę. W tej chwili jednak było to niepodobieństwem, byłem bez broni, nie miałem ani klucza, ani narzędzi, którymi mógłbym otworzyć drzwi, myślałem zresztą, że

lepiej będzie zrobić zeznanie, aniżeli samemu rzucać się w te awanturnicze poszukiwania, w których w końcu, jak Don Kichot, gotowym znaleźć wiatrak. Jak tylko dzień się zrobił, wyszedłem spod portyku, który mi służył za schronienie i stanąłem na wzgórzu. Gęsta mgła pokrywała morze; zeszedłem nad brzeg, czekając, by się rozproszyła. W pół godziny potem słońce wzeszło, a jego pierwsze promienie stopiły wyziewy, które pokrywały ocean, jeszcze wzburzony po wczorajszej burzy.

Pomiędzy skałami znalazłem łódkę pozostawioną wczoraj, tak jednak uszkodzoną, że nie mogłem powrócić w niej do Trouville. Szczęściem, w tych stronach spotyka się często rybaków — toteż po półgodzinnym oczekiwaniu, ujrzałem zbliżającą się łódkę. Dałem znak, spostrzeżono mnie i zbliżono się, wkrótce potem przeniosłem żagle i wiosła, zostawiając łódkę, za którą właścicielowi obiecałem zapłacić, jeżeli okaże się niezdatną do użytku. Rybacy, którzy mnie znaleźli jak drugiego Robinsona Crusoe, pochodzili z Trouville, poznali mnie natychmiast i ucieszyli się zobaczywszy, że żyję; wiedzieli, że wypłynąłem, a nie mogąc doczekać się powrotu, sądzą, że utonąłem. Opowiedziałem im o moim rozbiciu, o nocy przepędzonej na skale, i zapytałem, jak się nazywają ruiny, wznoszące się na wierzchołku góry, a które spostrzeegliśmy oddalając się od brzegów morza. Opowiedzieli mi, że to są szczątki opactwa Grand-Pré, przylegającego do parku i zamku de Burcy, zamieszkanego obecnie przez hrabiego Horacego de Beuzeval.

Po raz już drugie nazwisko to obito się mi o uszy, poruszając wszystkie struny mojego serca i budząc dawne wspomnienia. Hrabia Horacy de Beuzeval był mężem Pauliny Meulien.

— Paulina de Meulien — zawołałem przerywając Alfredowi — Paulina de Meulien!...

I zaraz przypomniałem sobie wszystko.

— A więc ta kobieta, którą wraz z tobą spotkałem w Szwajcarii i we Włoszech — to ona? Widywałem ją dawniej w salonach księżny B., księcia F.,

pani M., ale czyż mogłem poznać w tej bladej i zmienionej istocie tę prześliczną, pełną wdzięku i dowcipu kobietę, pyszne czarne włosy, oczy słodkie i dumne zarazem. Biedne dziecię, biedne dziecię! Przypominam ją sobie doskonale.

— Tak, to ona — odpowiedział Alfred głosem wzruszonym i przytłumionym. — Ona także poznała cię i dlatego unikała spotkania i uciekała tak starannie przed tobą. Był to anioł piękności, wdzięków i słodczy; wiesz o tym, bo nieraz widzieliśmy ją razem; ale nie wiedziałeś może, że kochałem ją szalenie, i że byłbym z pewnością starał się o jej rękę, gdybym był wtedy posiadał majątek, jaki później odziedziczyłem. Milczałem, bo w porównaniu z nią — byłem ubogi. Zrozumiałem więc, że gdybym ją dłużej widywał, narażałbym tylko moje szczęście, odbierając w zamian może pełne dumy wejrzenie lub poniżającą odmowę. Pojechałem więc do Hiszpanii i w czasie mojej bytności w Madrycie dowiedziałem się, iż Paulina de Meulien zaślubiła hrabiego Horacego de Beuzeval.

Nowe myśli, wywołane przez rybaków imieniem hrabiego, zatarły do pewnego stopnia wrażenia doznane w ciągu nocy; jasna zresztą słoneczna pogoda, widok ludu po samotnie spędzonej wśród ruin nocy, sprawiły, że całe to zdarzenie uważałem raczej za senne marzenie, niż za przedmiot wart przedstawienia władzy; mimo to jednak w głębi serca układałem sobie projekt rozwiązania dziwnej tej tajemnicy, tym więcej, że wyrzucałem sobie mimowolną bojaźń i pragnąłem sam przed sobą się rehabilitować.

Przybyłem do Trouville około jedenastej. Na mój widok radość była ogólna; sądzono bowiem, że utonął lub że mnie zamordowano, i cieszą się, że byłem tylko zmęczony; rzeczywiście, upadałem ze znużenia; położyłem się rozkazując, aby mnie obudzono o piątej i żeby na tę godzinę przygotowano powóz, który by mnie zawiózł do Point l'Evêque, gdzie chciałem noc przepędzić. Wypełniono moje polecenie, a o ósmej już znajdowałem się na miejscu. Nazajutrz o szóstej rano nająłem konia i w towarzystwie przewodnika

udałem się do Dives, mając zamiar przybywszy do tego miasta, niby z prostej ciekawości udać się brzegiem morza do ruin opactwa Grand-Pré, zwiedzić je za dnia, poznać dobrze całe jego położenie, a potem powrócić w nocy. Lecz nieprzewidziany wypadek zniweczył ten plan, prowadząc mnie za to inną drogą do tego samego celu.

Przybywszy do Dives udałem się na pocztę, której właściciel był zarazem merem miasta. Przed mieszkaniem jego zastałem żandarmów; całe miasto w widocznym było poruszeniu. Nowe morderstwo popełniono tej nocy; tym jednak razem z nadzwyczajną zuchwałością. Hrabina de Beuzeval przybyła przed kilkoma dniami z Paryża i została zamordowana w parku pałacowym, zamieszkałym przez hrabiego i kilku jego przyjaciół. Rozumiesz? Paulina... kobieta, którą kochałem, której wspomnienie tak zawsze drogie mi było — Paulina zamordowana! Zamordowana w parku swego pałacu i to w chwili właśnie, kiedy ja sam znajdowałem się w ruinach opactwa, o pięćset zaledwie kroków od niej. Nie mogłem temu uwierzyć. Nagle przypomniałem sobie ukazanie się nieznanego; chciałem mówić, opowiedzieć wszystko, lecz nie wiem jakie przecucie wstrzymało moje wyznanie. Nie byłem jeszcze pewny, umyśliłem przed zeznaniem doprowadzić samemu do końca moje poszukiwania.

Uprzedzono żandarmów, zawezwano mera, sędziego pokoju i dwóch lekarzy, aby spisać protokół, lecz jeden z lekarzy wyjechał do chorego. Przedstawiłem się jako uczeń anatomii, w braku innego przyjęto moją ofiarę, i udaliśmy się do zamku Burcy. Całą moją nadzieją było zobaczyć po raz ostatni Paulinę, zanim wieko trumny na wieki zamknie się nad nią; zresztą w tym razie usłuchałem głosu jakiegoś wewnętrznego natchnienia, chyba z nieba pochodzącego.

Przybyliśmy do zamku. Hrabia tego samego dnia rano wyjechał był do Caen, aby wyjednać sobie u prefekta pozwolenie przewiezienia ciała żony do Paryża i złożenia go w grobach rodzinnych; oddalił się przed przybyciem sądu, aby uniknąć prawnych formalności, tak bolesnych dla zrozpaczonego męża.

Jeden z jego przyjaciół zaprowadził nas do sypialnego pokoju hrabiny. Zaledwie mogłem ukryć boleść; nogi ugiwały się pode mną, serce biło gwałtownie, musiałem być blady jak ofiara, która na nas czekała. Weszliśmy do pokoju pełnego jeszcze jej wspomnień. Spojrzałem wokoło siebie okiem obłąkanego i spostrzegłem na łóżku postać ludzką przykrytą całunem; wówczas, bliski utraty zmysłów, oparłem się o drzwi; lekarz zbliżył się do niej z tym spokojem niezrównanym, chłodem i obojętnością wynikającą z przyzwyczajenia, podniósł prześcieradło przykrywające zmarłą i — odsłonił jej głowę. Wówczas zdało mi się, iż jestem pod wrażeniem jakiegoś snu czy złudzenia... trup leżący na łóżku... to nie hrabina de Beuzeval... Zamordowana kobieta, o której śmierci mieliśmy robić zeznanie — to nie Paulina...

ROZDZIAŁ IV

Była to blondynka z niebieskimi oczami, cerą delikatną i przezroczystą, o drobnych i arystokratycznych rękach; była to kobieta młoda i piękna, ale nie była to Paulina!

Kula przeszła pomiędzy dwoma żebrami i przeszła serce, śmierć musiała być natychmiastowa.

Wszystko to było dziwną, niezgłębioną dla mnie tajemnicą. Gubiłem się w domysłach, nie wiedząc na kogo rzucić podejrzenie... A więc ta kobieta to nie Paulina, którą mąż podał za umarłą, pod imieniem której miano kogoś obcego pochować w rodzinnych grobach.

Nie wiem dobrze, na co się przydałem przy całej tej sekcji i jak się podpisałem na protokole; szczęściem, doktor z Dives, chcąc pokazać swą wyższość nad uczniem chirurgii, sam zajął się całą sprawą, żądając jedynie mego podpisu. Po skończonej urzędowej czynności, udaliśmy się do sali jadalnej, gdzie przygotowano nam śniadanie. Towarzysze moi zasiedli do stołu, ja zaś, nie mogąc nic przełknąć, zbliżyłem się do okna i oparłszy głowę

patrzyłem na dziedziniec.

Zaledwie dziesięć minut upłynęło ujrzałem wjeżdżającego konno mężczyznę pokrytego kurzem. Zatrzymał zmęczonego konia, zeskoczył zeń, i nie troszcząc się, kto go odprowadzi do stajni, wbiegł szybko na ganek prowadzący do zamku. Zdziwienie moje co chwila wzrastało: pomimo zmiany w ubraniu, w człowieku tym poznałem tego, którego widziałem wychodzącego spod ziemi, w ubiorze wieśniaka z łopata w ręku i nożem myśliwskim za pasem. Zawołałem służącego i zapytałem, kim jest młody mężczyzna, który przyjechał? Odpowiedział mi, iż jest to jego pan, hrabia de Beuzeval, wracający z Caen, gdzie jeździł po pozwolenie przewiezienia ciała do Paryża.

Zapytałem, kiedy hrabia zamierza wyjechać.

— Dziś wieczorem — odpowiedział mi służący — wszystko do podróży gotowe i konie pocztowe zamówione są na godzinę piątą.

Wychodząc z sali jadalnej usłyszałem odgłos młotka; stolarz zabijał właśnie trumnę. Wszystko odbywało się w porządku, z widocznym pośpiechem.

Odjechałem do Dives; o trzeciej byłem w Point l'Evêque, a o czwartej w Trouville.

Powziąłem stanowczy zamiar zbadania dziwnej tajemnicy jeszcze tej samej nocy, a w razie niepowodzenia — zawiadomienia policji.

Nająłem łódkę z dwoma przewoźnikami, a uzbroiwszy się w dwa doskonałe pistolety i pugnał, zapiąłem paltot, aby ukryć przed moją gospodynią te groźne przygotowania; do łódki kazałem zanieść pochodnie i drąg żelazny i udałem się w drogę pod pozorem polowania na mewy.

Wiatr był pomyślny i w trzy godziny już byliśmy u ujścia Divy; kazałem zarzucić kotwicę, a kiedy noc się zbliżała, wyszedłem na ląd, zostawiwszy przewoźnikom zlecenie, by w wydrążeniu skały oczekiwali na umówiony znak; skoro zaś takowy dosłyszają, by przybywali natychmiast z pomocą; gdybym sam nie powrócił, powinni wrócić do Trouville i oddać papier zapieczętowany merowi. Było tam uczynione zeznanie o celu moich poszukiwań oraz dane

wskazówki do odszukania mnie w razie nieszczęścia żywym lub umarłym. Zabezpieczywszy się w ten sposób, przywiązałem pistolet do boku, a wzięwszy pochodnie, drąg żelazny i zapalki, udałem się ku ruinom znajomą mi już drogą.

Wkrótce potem promienie wschodzącego księżyca oświeciły mury starożytnego opactwa; przeszedłem portyk i znalazłem się w kaplicy.

I tym razem serce biło mi gwałtownie — więcej jednak z oczekiwania niż bojaźni. Miałem czas do zastanowienia się nad moim przedsięwzięciem, do spełnienia którego przystępowałem nie z chwilową i awanturniczą odwagą, lecz z silnym i niewzruszonym postanowieniem.

Stanąwszy pod kolumną, gdzie poprzedniej nocy spoczywałem, zatrzymałem się, aby spojrzeć wokoło. Wszystko było spokojne, żaden najmniejszy szelest nie mącił ciszy; wieczny tylko jęk oceanu dolatywał do mnie. Przede wszystkim pragnąłem odszukać miejsce, gdzie widziałem hrabiego de Beuzeval, ukrywającego tajemniczy przedmiot. W tym celu pozostawiłem pochodnie i drąg żelazny przy kolumnie i z pistoletem w ręku, gotowy do obrony, wszedłem na korytarz. Idąc pod ciemnymi arkadami, znalazłem łopatę i raz jeszcze upewniwszy się, że jestem sam, poszedłem w miejsce, gdzie ów przedmiot był ukryty, podniosłem kamień grobowy, tak jak to zrobił dnia poprzedniego hrabia i ujrzałem ziemię świeżo wzruszoną. Zagłębiłem w niej żelazo. Za pierwszym wyrzuceniem ziemi ujrzałem w niej błyszczący klucz; miejsce zasypałem ziemią, nakryłem kamieniem, łopatę odniosłem na to samo miejsce i zatrzymałem się przez chwilę w najciemniejszym zakątku, by móc zebrać myśli.

Przekonany, iż znaleziony klucz był od drzwi, którymi widziałem wychodzącego hrabiego, drąg pozostawiłem przy murze, wziąłem z sobą tylko pochodnie i zbliżywszy się do drzwi podziemia, zeszedłem po trzech schodach, włożyłem klucz w zamek i otworzyłem go z największą łatwością; miałem już drzwi zamykać, gdy przyszło mi na myśl, że nieprzewidziany wypadek może przeszkodzić mi do wyjścia i otworzenia drzwi kluczem, poszedłem więc i przyniosłem drąg żelazny, który ukryłem pomiędzy czwartym a piątym

stopniem; zamknąłem drzwi za sobą i zapaliłem pochodnię, aby rozjaśnić otaczające mnie ciemności.

Miejsce, w którym się znajdowałem, podobne było do wejścia do piwnicy, a szerokie na 5 do 6 stóp mury i sklepienie były kamienne. U spodu schodów dojrzałem zagłębienie, naprzeciw nich drugie drzwi, zbliżyłem się i nadśluchiwałem na próżno. Włożyłem klucz w zamek, ten zarówno jak poprzedni otworzył się; tych drzwi nie zamykałem już za sobą. Znajdowałem się widocznie w grobach przeznaczonych dla opatów. Mnichów grzebano na cmentarzu.

Zatrzymałem się chwilę. Widocznie zbliżałem się do celu mej wycieczki; pomimo pragnienia, by dojść tajemnicy — mówił dalej Alfred — zrozumiesz jakiego doznałem wrażenia, poznawszy gdzie się znajduje. Zimnym oblany potem, chciałem odzyskać przytomność, wmawiając w siebie, że znajdę co najwyżej kamień grobowy, na którym przed trzema dniami przyłożono pieczęć... Zadrzałem... Zdawało mi się, iż słyszę jakiś jęk...

Głos ten zamiast odjąć, przywrócił mi odwagę; postąpiłem szybko naprzód, zatrzymałem się by pomiarkować, skąd jęk ów pochodził. Nowy jęk dał się słyszeć. Rzuciłem się naprzód, zagłębiając spojrzenie w każdy zakątek; nie widziałem jednak nic, prócz kamieni grobowych, na których wyryte napisy okazywały, kto w nich spoczywa. Na koniec zbliżywszy się do ostatniego z nich a najgłębszego, spostrzegłem siedzącą w kącie postać kobiety z załamanyimi rękami, gryzącą splot włosów; przy niej na kamieniu leżał otwarty list, lampa zgaszona i opróżniona szklanka. Czyż przybyłem za późno!? czyż postać ta nie żyła już?... Chciałem otworzyć drzwi; klucz nie nadawał się do nich; na odgłos jednak mych kroków kobieta zwróciła na mnie obłąkane oczy, odgarnęła konwulsyjnym ruchem włosy spadające jej na twarz i szybkim poruszeniem podniosła się jak cień. Wydałem okrzyk przerażenia... była to Paulina.

Wówczas kobieta rzuciła się ku kracie i padła na kolana.

— Och! — zawołała głosem najokrutniejszej rozpacz — Wyprowadź mnie

stąd! Nie widziałam nic! Nic nie powiem! Przysięgam na moją matkę!

— Paulino! Paulino! — wołałem ściskając przez kratę jej rękę. — Paulino! Nie lękaj się, to jestem ja; przychodzę cię uwolnić... ocalić cię... wybawić!

— O! — wołała powstając — Ocalić mnie przychodzisz? Och tak, ocal mnie, ocal! Otwórz te drzwi, otwórz je natychmiast! Dopóki będą zamknięte — nie uwierzę ci. W imię Boga otwórz tę kratę!

I wstrząsnęła nią z taką siłą, jakiej nie byłbym nigdy przypuszczał w kobiecie.

— Uspokój się, uspokój! Nie mam klucza od tych drzwi, ale je otworzę z pewnością, pójdę tylko po narzędzia!

— Nie opuszczaj mnie! — zawołała czepiając się przez kratę mej ręki z niesłychaną siłą — Nie opuszczaj mnie, bo nie powrócisz więcej! Bo cię już nie zobaczę!

— Ależ Paulino! — zawołałem zbliżając pochodnię do mej twarzy. — Czyż mnie nie poznajesz? Patrz! Czyż ja mógłbym cię opuścić?

Paulina wlepiła we mnie wielkie czarne oczy. Po chwili milczenia zawołała:

— Alfred de Nerval!

— Dzięki ci, dzięki! — odpowiedziałem — Nie zapomniałaś mnie także. Tak, to ja, który cię tak kochałem! Ja, który Kocham cię dotąd. Mnie przecież możesz zaufać!...

Uczucie skromności tak jest wrodzone sercu kobiety szlachetnej, że w takiej nawet chwili twarz jej dotąd bladą nagły pokrył rumieniec.

Puściła moją rękę.

— Czy prędko powrócisz? — zapytała.

— Za pięć minut.

— Idź więc, lecz zostaw pochodnię, błagam cię; te ciemności zabijają mnie!

Podąłem jej światło, wzięła je w rękę, uchwyciwszy się kraty wejrzeniem; ja zaś przyspieszałem kroku, aby powrócić tą samą drogą, którą wszedłem. W chwili, kiedy miałem przejść pierwsze drzwi, odwróciłem się i zobaczyłem

Paulinę w tej samej postawie; stała nieporuszona, blada jak posąg marmurowy, oświecona jaskrawym światłem pochodni. Uszedłszy ze dwadzieścia kroków znalazłem drugie schody i na ich czwartym stopniu drąg żelazny; powróciłem więc natychmiast. Paulina stała w tym samym miejscu. Na mój widok wydała okrzyk radości. Pospieszyłem do kraty.

Zamek był tak silnie zbudowany, że niepodobna było go odbić; chciałem więc oderwać zawiasy i zacząłem wyłamywać mur. Paulina przyświecała i po dziesięciu minutach robota była skończona. Widząc to, nieszczęśliwa padła na kolana; wówczas dopiero uwierzyła w swoje ocalenie.

Pozwoliłem jej się pomodlić, a sam wszedłem do grobowca. Obróciła się, szybko porwała list otwarty i ukryła go na piersiach. To poruszenie przypomniało mi opróżnioną szklankę; wziąłem ją niespokojny; na dnie pozostało prawie pół cala białego jakiegoś proszku.

— Co było w tej szklance? — zawołałem przerażony.

— Trucizna — odpowiedziała.

— Wypiłaś ją!

— Czyż wiedziałam, że przyjdiesz! — zawołała, opierając się o kratę.

W tej chwili dopiero przypomniała sobie, że przed dwiema godzinami opróżniła szklankę...

— Czy cierpisz? — zapytałem.

— Jeszcze nie! — odpowiedziała.

Nadzieja we mnie wstąpiła.

— Czy dawno trucizna była tu przyniesiona?

— Dwa dni i dwie noce, o ile sądzić mogę...

Przypatrzyłem się szklance na nowo. Głęboki osad pokrywający dno uspokoił mnie: przez te dwa dni i dwie noce trucizna opadła. Paulina wypła wodę zatrutą wprawdzie, nie dość jednak silnie, by miała sprowadzić śmierć.

— Nie ma ani chwili do stracenia — rzekłem chcąc ją wziąć na ręce — trzeba uciekać i szukać ratunku.

— Będę mogła iść sama — powiedziała Paulina, cofając się nieśmiało.

Natychmiast więc skierowaliśmy kroki nasze ku pierwszym drzwiom, które zamknęliśmy za sobą; potem zbliżyliśmy się ku drugim i te otworzyły się bez trudu. Znaleźliśmy się w kaplicy. Księżyc błyszczał na czystym niebie. Paulina wyciągnęła ręce i padła po raz drugi na kolana.

— Idźmy, idźmy — wołałem — każda chwila może być naszą zgubą!

— Cierpię już — zawołała powstając.

Zimny pot oblał mi skronie; wziąłem ją na ręce jak dziecko, przeszedłem szybko ruiny i biegnąc prawie, doszedłem do wybrzeża, kierując się ogniem, rozpalonym przez moich przewoźników.

— Podawać łódkę! — zawołałem głosem, po którym poznać mogli, że nie ma ani chwili do stracenia.

Rzucili się do łódki i wkrótce potem przyплыnęli, o ile można było najbliżej. Wszedłem w wodę po kolana, wzięli z rąk mych Paulinę i złożyli w łódce. Ja wskoczyłem za nią.

— Czy cierpisz więcej? — zapytałem.

— Tak — odpowiedziała.

Co działo się w moim sercu — opisać trudno. Targała nim rozpacz prawie. Przeciwno truciznie nie miałem nic, żadnego środka. Wtem przyszła mi na myśl woda morska; napełniłem nią muszlę, którą znalazłem na dnie łódki i podałem Paulinie.

— Wypij to — rzekłem.

Usłuchała mnie machinalnie.

— Co pan robisz! — zawołał jeden z rybaków — narazisz biedaczkę na chorobę!

Tego właśnie żądałem — to jedno mogło ją ocalić. Po upływie pięciu minut z niezwykłą siłą, tym większą, że od trzech dni nic nie jadła, zaczęła wyrzucać truciznę; po chwili bóle ustały, uspokoiła się; podałem jej wtenczas szklanekę czystej wody, którą wypila z chciwością, po czym osłabiona prawie upadła na

siedzenie. Zrobiliśmy jej posłanie z mego paltota i kaftanów przewoźników, położyła się posłuszna jak dziecko i wkrótce oczy jej się zamknęły; słuchałem przez chwilę jej oddechu, był szybki, ale równy. Była więc ocalona!

— No, teraz płynmy szczęśliwie do Trouville — zawołałem wesoło do moich majtków, — a płynmy jak najprędzej! Dla każdego z was znajdzie się po dwadzieścia pięć franków za powrotem.

Na taką zachętę, przewoźnicy widząc, że żagiel nie był dostateczny, porwali za wiosła i łódka pomknęła jak strzała...

ROZDZIAŁ V

Paulina przebudziła się gdyśmy wpływali do portu. W pierwszej chwili dziwne ogarnęło ją przerażenie; zdawało jej się, że śni tylko o wolności swojej i wyciągnęła ręce, pewna że dotknie murów podziemi. Spojrzała wokoło niespokojna.

— Gdzie mnie prowadzisz? — zapytała.

— Bądź spokojna — odpowiedziałem — domy, które widzisz, należą do biednej wioski, a ci, którzy je zamieszkują, są zbyt zajęci pracą, by mogli być ciekawi; pozostaniesz tu nieznana, do kiedy zechcesz. Zresztą, jeżeli chcesz wyjechać, powiedz mi gdzie, a jutro, tej nocy jeszcze, w tej chwili jadę z tobą, odwożę cię; jestem twoim towarzyszem i przewodnikiem.

— Nawet poza granicą Francji?

— Gdzie tylko zechcesz.

— Dziękuję ci, daj mi godzinę do namysłu; serce moje jest złamane, wszystkie siły wyczerpane przez te dwa dni i dwie noce; umysł mój jest tak pomieszany, iż chwilami sędzę, że jestem obłąkana. Pozwól mi zebrać myśli!

— Skoro zechcesz mnie widzieć, daj znać, przyjadę natychmiast — odrzekłem, wprowadzając ją do małej oberży, gdzie kazałem przygotować dla niej osobny pokój i poleciłem gospodyni, ażeby jej zaniósła filiżankę bulionu;

dla osłabionego bowiem i wycieńczonego jej organizmu każdy inny pokarm mógłby być szkodliwy.

Powróciłem do siebie.

Radość, której w obecności Pauliny okazać nie śmiałem, przepęłniała mi serce. Ta, którą tak kochałem, której pamięć pomimo dwuletniego rozłączenia pozostała w moim sercu, była teraz przeze mnie ocalona i mnie winna była życie. Uwielbiałem Opatrzność, która nieprzewidzianymi drogami kierowała mną i pomogła do spełnienia zamiarów moich. Zadrzałem na myśl, że gdyby jedna choć najdrobniejsza nić wypadków ubiegłych inaczej się pokierowała, Paulina zamknięta w podziemiu wiłaby się teraz w konwulsjach konania, a ja byłbym zajęty jakąś błahostką, przyjemnością może. Żaden głos wewnętrzny nie byłby mi szepnął: „ratuj ją, ona umiera!...”

Pogrążony przez godzinę całą w myślach tego rodzaju składałem dzięki Opatrzności, iż mnie wybrała za narzędzie jej ocalenia — byłem dumny, szczęśliwy! Sam czyn był już dla mnie nagrodą. Powstałem żywo, aby biec do jej pokoju, lecz we drzwiach zabrakło mi siły, musiałem oprzeć się o mur. Służąca powtórzyła mi polecenie Pauliny. Opanowałem wzruszenie, wszedłem do niej.

Hrabina rzuciła się na łóżko, nie rozbierając się.

Zbliżyłem się do niej z udanym spokojem; podała mi rękę.

— Nie podziękowałam panu jeszcze — rzekła. — Ale czy słowa, które bym wyrazić mogła, byłyby w stanie oddać całą mią wdzięczność? Pomyśl, w jakim stanie mnie znalazłeś i przebacz mi.

— Posłuchaj mnie, pani, i wierz temu, co powiem. Są położenia tak niespodziane i szczególne, że uwalniają nas od zwykłych form towarzyskich. Bóg zaprowadził mnie do ciebie i jemu składam dzięki; ale moja misja jeszcze się nie skończyła; sądzę, iż jestem ci potrzebny jeszcze. Słuchaj mnie więc i zastanów się nad moimi słowami. Jestem wolny... jestem bogaty... nic mnie nie przywiązuje do żadnego miejsca. Miałem zamiar podróżować, jechałem do

Anglii bez żadnego celu; mogę zmienić kierunek mej drogi i udać się, gdzie mnie losy popchną. Jeżeli pani potrzebujesz opuścić Francję, jestem na twoje rozkazy. Nic nie wiem, nie żądam tajemnicy twojej, ale pamiętaj o tym, że czy chcesz kraj opuścić, czy też w nim pozostać, będę ci towarzyszył wszędzie w charakterze przyjaciela, brata, z bliska czy z daleka. Weź mnie, jako swego obrońcę lub żądaj, abym udawał nieznanego, a usłucham cię natychmiast, bez żadnej ukrytej myśli, bez żadnej egoistycznej nadziei. A teraz, pani, kiedy już wszystko powiedziałem, uważaj mnie za brata.

— Dziękuję — odpowiedziała hrabina głosem głęboko wzruszonym — przyjmuję z ufnością godną twej szlachetności ofiarę twoją. Dziś pan jeden mi pozostałeś, pan jeden wiesz, że żyję. Muszę opuścić Francję. Miałeś się udać do Anglii, pojedę z tobą; jeżeli chcesz być moim bratem, odtąd dla wszystkich zostanę panną de Nerval.

— Uszczęśliwiasz mnie, pani — zawołałem.

Hrabina mówiła dalej.

— Może żądam więcej, aniżeli pan mi dać możesz? Ja także byłam bogata; lecz umarli nie posiadają nic.

— Ale ja jestem bogaty i cały mój majątek...

— Nie rozumiesz mnie pan — przerwała — a nie dając mi kończyć, zmuszasz do rumienienia się.

— Przebacz, pani!

— Będę więc panną de Nerval, córką twego ojca albo może sierotą, oddaną pod twoją opiekę. Musisz pan mieć listy polecające; przedstawiś mnie w jakim zakładzie naukowym: mówię po angielsku i włosku jak swym rodowitym językiem, znam dobrze muzykę, przynajmniej dawniej mi tak mówiono; mogę więc być nauczycielką muzyki i języków.

— Ależ to niepodobna! — zawołałem.

— Takie są moje warunki — odpowiedziała hrabina. — Odmawiasz pan ich przyjęcia czy też je przyjmujesz, mój bracie?

— Wszystko, co zechcesz, wszystko, wszystko...

— Dobrze więc, nie ma czasu do stracenia; jutro musimy wyjechać. Czy to możliwe?

— Najzupełniej.

— A paszporty?

— Mam swój.

— Na imię pana de Nerval?

— Dodam tam imię mej siostry.

— Będzie to fałszerstwo.

— Bardzo niewinne. Może pani żądasz, abym pisał po nowy paszport do Paryża?

— Nie, nie... to zabrałoby zbyt wiele czasu. Skąd wypłyniemy?

— Z Hawru.

— Jak?

— Statkiem pocztowym.

— Kiedy?

— Kiedy pani zechcesz.

— Czy nie można by dziś jeszcze?

— Jesteś tak osłabiona...

— Mylisz się pan, jestem silna; jak tylko wszystko będzie do podróży gotowe, znajdziesz pan i mnie gotową.

— Za dwie godziny zatem.

— Dobrze, do widzenia, bracie.

— Żegnam panią.

— Otóż — zawołała z uśmiechem hrabina — już nie dotrzymujesz swoich zobowiązań.

— Pozwól mi się przyzwycząić do tego słodkiego imienia.

— A mnie, czyż to tak wiele kosztowało?

— Pani — zawołałem — spostrzegłem, że mogłem powiedzieć za wiele... Za

dwie godziny — mówiłem dalej — wszystko będzie gotowe.

Skłoniłem się i wyszedłem.

Zaledwie kwadrans upłynął od chwili, w której przyjąłem na siebie rolę jej brata, a już odczułem jak wytrwanie w niej trudnym będzie. Zawsze rzeczą jest trudną być bratem przybranym młodej, pięknej kobiety; jeżeli się jednak kobietę tę kochało, utraciło ją, znalazło smutną i opuszczoną, nie mającą innej prócz naszej opieki, gdy szczęście, któremu wierzyć nie mogliśmy, uważając je za sen, jest już przy nas, w rzeczywistości; wówczas, pomimo danego słowa, mimo woli, niepodobna zamknąć w duszy uczucia, które przemocą dobywa się i zdradza przez oczy... przez usta...

Znalazłem moich przewoźników przy wieczerzy i opowiedziałem im o naszym zamiarze dostania się jeszcze tej nocy do Hawru, przed odjazdem statku pocztowego. Zgodzili się na to chętnie, lecz musieli przygotować pewniejszy statek niż ten, którym przybyliśmy i żądali godziny czasu; zezwoliłem na to chętnie, dodając po pięć franków dla każdego z nich. Byli uszczęśliwieni: za te pieniądze gotowi byli zawieźć mnie do Anglii.

Hrabina miała tylko suknie, w których ją uwięziono, lękałem się, aby się w drodze nie zaziębiła; prosiłem więc mojej gospodyni, aby mi odstąpiła ciepły szal, który by mógł ją chronić od mgły i wiatru nocnego, po czym załatwiwszy rachunki, udaliśmy się do portu, gdzie oczekiwał nasz statek.

Jak to przewidywałem, noc była zimna, ale piękna i spokojna. Hrabinę otuliłem szalem i chciałem, aby spoczęła pod namiotem, jaki jej przewoźnicy z żagli zrobili; niebo jednak było tak czyste, noc tak spokojna, iż wolą pozostać na pokładzie, wskazałem jej ławkę i usiedliśmy obok siebie.

Serca nasze były tak przepełnione myślami, że siedzieliśmy w milczeniu. Pochyliłem głowę na piersi i zastanawiałem się nad całym tym szeregiem szczególnych przygód dziś rozpoczętym, a który miał się ciągnąć i na przyszłość. Pragnąłem być dowiedzieć się, jakim sposobem młoda, bogata, pozornie przez męża uwielbiana hrabina de Beuzeval, mogła się znajdować w

podziemiach ruin opactwa, skąd ją od niechybnej śmierci uratowałem; w jakim celu i z jakiego powodu mąż podał ją za umarłą, a na jej miejscu na łożu śmiertelnym wystawiono ciało obcej kobiety? Czy była to zazdrość?... Jakże okrutną wydała mi się ta myśl... Paulina więc kocha!... W takim razie wszystkie moje marzenia rozwiane: dla człowieka, którego kocha, powróci do życia i gdziekolwiek znajdować się będzie, on ją odnajdzie. Ocaliłem ją dla innego; dziękowała mi jako bratu, a ten człowiek ścisnie moją rękę, mówiąc, że mi winien więcej niż życie, a potem... potem będą szczęśliwi! A ja?... ja powrócę do Francji, aby cierpieć, jak dotąd cierpiałem, a raczej po tysiąc razy więcej, bo szczęście, które z dala dostrzegłem, zbliżyło się po to, aby okrutnie zniknąć. Wówczas mogła nadejść chwila, w której bym przeklinał godzinę ocalenia tej kobiety i żałował, że umarła dla wszystkich, a dla mnie żyła jeszcze, lecz... nie dla mnie tylko, ale i dla innego... Zresztą, jeżeli była winna, zemsta hrabiego była straszna... Na jego miejscu... nie byłbym pozwolił jej umrzeć... Byłbym ją zabił... ją i tego człowieka!... Paulina kocha innego... Paulina jest występna!... Myśl ta raniła mi serce... Podniosłem z wolna głowę. Paulina z głową w tył odchyloną patrzyła w niebo i dwie łzy spływały po jej licach.

— Boże mój! — zawołałem — co ci jest?

— Czy sądzisz — odpowiedziała nie poruszając się — że można opuścić na zawsze ojczyznę, rodzinę, matkę, bez bólu serca? Czyż sądzisz, że można zamienić, jeżeli nie szczęście, to przynajmniej spokój, na rozpacz i tułactwo, aby się przy tym nie krwawiło serce? Czy sądzisz, iż można w moim wieku przepłynąć ocean, na resztę dni życia, aby nie zmieszać łez swoich z wodami, które uniosą nas z dala od wszystkiego, co się kochało?...

— Lecz czyż to pożegnanie ma być wieczyste? — zapytałem.

— Wieczyste! — szepnęła.

— Czy z tych, których żałujesz, nie zobaczysz już nigdy nikogo?

— Nigdy i nikogo — powtórzyła jak echo.

— I dla wszystkich... bez wyjątku, ma na zawsze zostać tajemnicą, że ta,

którą mają za umarłą, której żałują — żyje, płacze i tęskni za nimi?

— Dla wszystkich, na zawsze i... bez wyjątku!...

— O! — zawołałem — jakżem szczęśliwy, jakież ciężar zdjęłaś mi z piersi.

— Nie rozumiem cię — odpowiedziała.

— Czyż nie domyślasz się, jakie w mym sercu budzą się obawy i z wątpienia?... Czyż sama nie pragniesz dowiedzieć się, jakim zbiegiem okoliczności znalazłem się przy tobie?... Czyż dziękujesz niebu za ocalenie swoje, nie pytając, jakimi drogami doprowadziło mnie do ciebie?

— Masz słuszność, brat nie powinien mieć tajemnic dla siostry. Opowiesz mi wszystko... Ja także... nic przed tobą nie zataję.

— Nic nie zataisz... przysięgnij mi na to!...

— Bądź jednak pewien, że nie znajdziesz w nim nic, prócz cierpień, rezygnacji i modlitwy. W każdym razie chwila na to nieodpowiednia. Zresztą, nie miałabym jeszcze odwagi do opowiedzenia ci wszystkiego. Nieszczęścia tak nagle na mnie spadły...

— O! mówić będziesz wtedy, kiedy zechcesz, będę czekał cierpliwie...

— Potrzebuję wypoczynku — rzekła, powstając. — Wszak mi mówiłeś, że mogłabym się przespać pod tym namiotem.

Zaprowadziłem ją tam i rozciągnąłem płaszcz mój na ziemi. Skinęła ręką, bym ją pozostawił samą. Usłuchałem i powróciwszy na pokład usiadłem w tym samym miejscu, na którym ona spoczywała i przesiadziłem tak aż do przybycia naszego do Hawru.

Nazajutrz wieczorem byliśmy w Brighton, a w sześć godzin później w Londynie.

ROZDZIAŁ VI

Pierwszym moim staraniem po przybyciu do Londynu było wyszukanie stosownego mieszkania dla siebie i siostry; udałem się więc do mego bankiera, a

ten wskazał mi mały umeblowany domek, który bardzo mi się podobał pod względem rozkładu pokojów, wkrótce też zawarłem z właścicielem umowę.

Korzystając z chwili, w której hrabina odpoczywała, udałem się do składu bielizny, gdzie zakupiłem cały gustowny choć skromny komplet bielizny, a w dwie godziny później odniesiono go do najętego mieszkania ze znakami Pauliny de Nerval i ułożono w komodzie będącej w sypialnym pokoju tej, dla której były przeznaczone. Załatwiwszy się z bielizną w magazynie francuskim, kupiłem kapelusz, a że nie mogłem wybrać sukni, nie mając żadnej na wzór, kazałem przynieść do mieszkania kilka sztuk materii, prosząc jednocześnie kupca o przysłanie tego samego wieczora krawcowej dla wzięcia miary.

W południe już byłem z powrotem. Powiedziano mi, iż siostra moja już się obudziła i czeka na mnie z herbatą; zastałem ją ubraną w bardzo skromną suknię, którą w czasie naszego dwunastogodzinnego pobytu w Hawrze, zrobić sobie kazała. Śliczna była w tym ubiorze.

— Spójrz na mnie! — zawołała widząc mnie wchodzącego — Mam już strój właściwy; możesz mnie śmiało przedstawić jako nauczycielkę w jakimś pensjonacie.

— Zrobię wszystko, co zechcesz — odpowiedziałem.

— O nie tak powinieneś mówić; ja dobrze odgrywałam moją rolę, ale pan zapominasz co chwila o swojej; bracia nie tak chętnie spełniają żądania siostry, zwłaszcza bracia starsi. Zdradzisz się, zobaczysz!

— Podziwiam twoją odwagę — odpowiedziałem opuszczając ręce i patrząc na nią z boleścią. — Z bólem w sercu — bo dusza twoja cierpi, z bladością czoła — bo ciało tve cierpi także, oddalone od wszystkich, których kochasz, masz siłę uśmiechać się! Ale płacz lepiej, płacz, wolę patrzeć na łzy twoje, mniej mnie one boją, od tego wywalzonego heroicznym męstwem uśmiechu.

— Masz słuszność — odrzekła — widzę, że jestem złą aktorką, gdy pod uśmiechem dostrzec łzy można. Wypłakałam je już podczas twojej nieobecności i lepiej mi się zrobiło; oko więc mniej przenikliwe niż oko brata, nie mogłoby

dostrzec, że nie o wszystkim zapomniałam.

— Bądź pani spokojna — odpowiedziałem z pewną goryczą, bo pomimo woli wszystkie podejrzenia na nowo opanowały mi serce — bądź spokojna, nigdy temu nie uwierzę!

— Czy sądzisz, że można zapomnieć matki, kiedy się wie, że płacze po mojej śmierci? O moja matko! Biedna moja matko! — zawołała tonąc we łzach i padając na kanapę.

— Widzisz, pani, jakim jestem egoistą — rzekłem zbliżając się ku niej — przekładam łzy twoje nad uśmiech. Łzy są powiernikami, uśmiech zaś pokryciem tego, co serce chce zachować w tajemnicy. Zresztą, kiedy widzę cię płaczącą, zdaje mi się, iż potrzebny ci jestem do otarcia tych łez... Kiedy płaczesz, mam nadzieję, iż z wolna, skutkiem starań i wiernych ci usług pocieszę cię, gdybyś się była już pocieszyła, cóż by dla mnie pozostało?

— Słuchaj, Alfredzie — powiedziała hrabina z uczuciem głębokiej życzliwości, po raz pierwszy zowiąc mnie po imieniu — dajmy pokój tej słów szermierce, zaszyły pomiędzy nami rzeczy tak szczególne, że wolni jesteśmy względem siebie od słów dwuznacznych, od udawania. Otwarcie mnie badaj, powiedz, co chcesz wiedzieć, a odpowiem ci.

— Jesteś aniołem — zawołałem — a ja szaleńcem; nie mam prawa nic wiedzieć, o nic cię pytać. Czyż nie byłem szczęśliwy o tyle, o ile człowiek szczęśliwy być może, gdy cię znalazłem w podziemiu, gdy cię nosiłem w mych objęciach przez ruiny, gdy cię widziałem opartą o moje ramię na łódce... Nie wiem, ale zdaje mi się, iż chciałbym, aby wieczne groziło ci niebezpieczeństwo, bym zawsze czuł drżącą twą postać przy sercu moim. Życie takie wyczerpałoby mnie prędko, ale byłoby pełne rajskich uniesień. Wiecznie przejęta trwogą, we mnie byś miała jedyną nadzieję! Wspomnienia Paryża nie dręczyłyby cię; nie udawałabyś śmiechu wtedy, gdy serce twe łez pełne, a ja, mimo wszystko, byłbym szczęśliwy... nie byłbym zazdrosny.

— Alfredzie — przemówiła poważnie — tak wiele jestem ci winna, że

powinnam zrobić coś dla ciebie. Musisz bardzo cierpieć, jeżeli w ten sposób przemawiasz do mnie zapominając, że jestem dziś na łasce twojej. Zawstydzasz mnie i boleść mi sprawiasz.

— Przebacz mi, przebacz! — zawołałem padając na kolana — Wiesz, że cię kochałem, gdy młodą jeszcze byłaś panienką, nie wyjawiałem ci tego nigdy, bo brak majątku nie pozwolił mi starać się o twoją rękę; wiesz, że od czasu, jak cię odnalazłem, miłość ta, uspiona może, lecz nigdy nie zagasła, obudziła się gorętsza jeszcze, żywsza niż dawniej. Wiesz o tym, bo czyż potrzeba słów na wyrażenie uczuć, których ja doznaję? Łzy więc twoje i uśmiech jednakowo mnie bolą: kiedy się śmiejesz, ukrywasz coś przede mną, kiedy płaczesz, przyznajesz, że kochasz kogoś, że kogoś żałujesz!

— Mylisz się — odpowiedziała — jeżeli kochałam, dziś już nie Kocham, jeżeli żałuję kogo, to matki mojej jedynie.

— Paulino! Paulino! — zawołałem — Czy to prawda? Czy ty mnie nie zwodzisz? Boże mój, Boże!

— Czy sądzisz, że byłabym zdolna kłamstwem okupywać sobie twoją opiekę?

— Niechaj niebo broni mnie od myśli podobnej!... — zawołałem. — Lecz cóż było powodem zazdrości twego męża? Gdyż zazdrość jedynie mogła go popchnąć do zbrodni.

— Słuchaj Alfredzie, bądź co bądź muszę ci kiedyś odkryć straszną tajemnicę, której padłam ofiarą; masz prawo żądać tego ode mnie, toteż dziś wieczorem dowiesz się o wszystkim, dziś wieczorem czytać będziesz w mej duszy, dziś jeszcze w ręku twoim będzie więcej niż życie, bo honor mej rodziny. Wyjawię ci wszystko, pod jednym wszakże warunkiem.

— Powiedz pod jakim, na każdy przystaję.

— Nie będziesz mi mówił o swej miłości, a ja w zamian przyrzekam ci nie zapomnieć nigdy o tym, że mnie kochasz.

Podala mi rękę, którą z religijną czcią do ust poniosłem.

— Siadaj i nie mówmy więcej o tym — dodała. — Czy już postanowiłeś coś dla mnie na przyszłość?

— Szukałem małego skromnego domku na uboczu, gdzie mogłabyś być wolną panią siebie, bo pozostać w hotelu niepodobna.

— I znalazłeś go?

— Tak, znalazłem na Piccadilly. Jeżeli zechcesz pojedziemy go obejrzeć po śniadaniu.

— Dobrze, podaj mi filiżankę.

Po śniadaniu udaliśmy się powozem na wybrzeże.

Znaleźliśmy się wkrótce przed małym domkiem w ogródku pełnym kwiatów. Był to typ dwupiętrowego angielskiego domu; parter mieliśmy wspólnie zajmować; pierwsze piętro przeznaczyłem dla Pauliny, drugie dla siebie.

Weszliśmy do jej mieszkania: składało się ono z przedpokoju, saloniku, sypialni, buduaru i pracowni, w której przygotowano wszelkie przybory do muzyki i rysunku. Otworzyłem szafy — magazynierka dotrzymała słowa.

— Co to jest? — zapytała Paulina.

— Jeżeli się umieścisz na pensji — odpowiedziałem — będziesz potrzebowała bielizny. Ta jestznaczona twoimi cyframi P.N., oznacza Paulinę de Nerval.

— Dziękuję ci, bracie — rzekła ściskając mi rękę.

Po raz pierwszy po naszej rozmowie dała mi to imię, tytuł ten jednak teraz nie sprawił mi przykrości.

Weszliśmy do pokoju sypialnego, na łóżku leżały dwa kapelusze zrobione paryskim fasonem i szal kaszmirowy.

— Alfredzie! — zawołała hrabina spostrzegając je — Powinieneś mnie był wpuścić tu samą, jeżeli miałam znaleźć te wszystkie rzeczy. Czyż nie widzisz, jak mnie to boli, że ci tyle trudu zadaję? Doprawdy, nie wiem właściwie, czy powinnam...

— Oddasz mi wszystko, gdy zapracujesz — przerwałem uśmiechając się —
wszak wolno bratu pożyczyć coś siostrze?

— Wolno mu ją nawet czymś obdarzyć, jeżeli jest bogatszym od niej —
odpowiedziała Paulina — bo ten, który daje, jest szczęśliwy.

— Tak, masz słusność — zawołałem — jesteś aniołem dobroci i
wrozumienia.

Przeszliśmy do pracowni, na pianinie leżały najnowsze śpiewy pani
Duchange, de Labarre i Plandata, najślawniejsze arcydzieła Belliniego,
Meyerbeera i Rossiniego. Paulina otworzyła jeden z zeszytów i pogрузzyła się w
głębokiej zadumie.

— Co ci jest? — zapytałem, widząc jej bystre oczy wpatrzone wciąż w tę
samą kartę, i ją samą, zdającą się zapominać o mojej obecności.

— Szczególna rzecz... — szepnęła odpowiadając zarazem swym myślom i
moim pytaniom — Nie ma tygodnia jak śpiewałam tę pieśń u pani B.; miałam
wówczas rodzinę, nazwisko, stanowisko w świecie... wszystko; dziś nic mi nie
pozostało...

Zbladła i upadła prawie na stojący obok fotel, zdawało się, że umiera.
Zbliżyłem się do niej, przyknęła oczy, domyśliłem się, iż pragnie, by jej nie
przeszkadzać, usiadłem obok i opierając jej głowę o moje ramię szepnąłem:

— Biedna siostro!

Rozpłakała się, ale bez łkań i bez jęków. Z oczu jej płynęły ciche, smutne
łzy, łzy rzewne, których wylewania bronić się nie godzi. Po chwili uspokoiła się,
z uśmiechem otworzyła oczy i rzekła:

— Pozwoliłeś mi płakać, dziękuję ci za to!

— Nie jestem już zazdrosny — odpowiedziałem.

Powstała.

— Czy nie ma tu drugiego piętra? — zapytała.

— Owszem, składa się ono z takich samych pokojów jak te.

— Czy ma być zajęte?

— Jeżeli chcesz tego.

— Musimy przyjąć stosunki takie, jakie Opatrzność nam wyznaczyła. W oczach świata jesteś moim bratem, naturalnym więc jest, byś mieszkał w jednym ze mną domu, uważano by nawet za szczególne, gdybyś szukał innego mieszkania. A teraz zejdźmy do ogrodu.

Był to maleńki jak dywan tarasik, zielony, z bukietem kwiatów pośrodku, wokoło była ścieżka usypana piaskiem, przeszliśmy po niej parę razy, po czym Paulina zerwała kilka róż.

— Spójrz na nie — zawołała — jakie blade i bez zapachu. Czyż nie wyglądają na wygnańców konających z dala od rodzinnej ziemi? Czy sądzisz, że one mogą myśleć i cierpieć, że znają przyczynę swej boleści?

— Mylisz się — odpowiedziałem — te kwiaty tutaj się urodziły; powietrze tutejsze jest im właściwsze, są to dzieci mgły a nie rosy; gorętsze słońce spaliłoby je. Zresztą są one stworzone na to, by zdobić jasne włosy córek Albionu; dla ciebie, dla twoich kruczych splotów, potrzeba by róż gorącej Hiszpanii. Pojedziemy po nie, jeżeli zechcesz.

Paulina uśmiechnęła się smutno.

— Tak — powiedziała — do Hiszpanii... do Włoch... Szwajcarii... wszędzie... byle nie do Francji!

Zamilkła i przechadzając się po ogródku bezmyślnie zrywała płatki róż i sypała je wokoło.

— Czyż jednak na zawsze straciłaś nadzieję powrotu? — zapytałem.

— Wszak jestem umarła!

— Lecz zmieniając nazwisko?

— Potrzebowałabym i twarz zmienić.

— Więc ta tajemnica jest tak straszna?

— Jest to medal o dwóch stronach: z jednej strony — trucizna, z drugiej — rusztowanie. Słuchaj, muszę ci opowiedzieć wszystko; im prędzej tym lepiej; lecz wprzód ty mi powiedz, jakim cudem Opatrzność sprowadziła cię ku mnie?

Usiedliśmy na ławce pod wspaniałym jaworem, pokrywającym swym cieniem część ogródka.

Wówczas rozpocząłem moje opowiadanie od wyjazdu z Trouville; opowiedziałem jak burza wyrzuciła mnie na brzeg, jak szukając schronienia ukryłem się w ruinach opactwa i obudzony zostałem wśród nocy łoskotem otwierających się drzwi; widziałem wtedy człowieka wychodzącego z podziemi, widziałem, jak ten człowiek zakopywał coś pod kamieniem grobowym i jak wówczas, domyślając się tajemnicy, postanowiłem ją zbadać. Opowiedziałem dalej o jej śmierci, o postanowieniu ujrzenia jej po raz ostatni. Opisałem moje zdziwienie i radość, że całun grobowy osłaniał ciało innej kobiety; na koniec moją wycieczkę nocną, dzieje znalezionej pod grobem klucza, wejście do podziemi i szczęście, jakiego na jej widok doznałem. Opowiadałem jej to wszystko takimi wyrazami, które bez wymówienia słowa miłości dawały jej ją ucuć; mówiąc też byłem szczęśliwy i wynagrodzony sowicie, widziałem bowiem, że namiętne moje wyrazy wzruszają ją i dochodzą do głębi jej serca. Gdy skończyłem wzięła moją rękę, uścisnęła ją w milczeniu, popatrzyła na mnie chwil kilka z wyrazem anielskiej wdzięczności i przerywając milczenie.

— Przysięgnij mi... — rzekła.

— Dobrze, mów.

— Przysięgnij mi na wszystko, co masz najświętszego, że nie wypowiesz przed nikim tego, co ci powiem — dopóki ja, moja matka i hrabia de Beuzeval żyć będziemy.

— Przysięgam na honor! — odpowiedziałem.

— A więc słuchaj mnie, bracie!

ROZDZIAŁ VII

— Nie potrzebuję ci opisywać rodziny mojej — znasz ją; matka, kilku dalekich krewnych — oto wszystko. Miałam majątek.

— Niestety! — przerwałem — czemuż nie byłaś uboga!...

— Ojciec mój — ciągnęła dalej Paulina, nie zwracając uwagi na uczucie, które spowodowało mój okrzyk — umierając pozostawił 40 000 franków dochodu. Byłam jedynaczką, uważano mnie przeto za bogatą: weszłam też w świat jako bogata dziedziczka.

— Zapominasz dodać, iż byłaś piękna i wykształcona.

— Nie pozwalasz mi mówić — odpowiedziała uśmiechając się Paulina — przerywasz ciągle.

— O! Bo ty wiedzieć nie możesz, jakie wrażenie wywołałaś swoim ukazaniem się w świecie, bo tę część twego życia znam lepiej od ciebie, bo nie wiedząc o tym, byłaś królową wszystkich balów, królową, której składano hołdy, a o których ty tylko jedna nie wiedziałaś. Wówczas to po raz pierwszy ujrzałem cię. Było to u księżny B., najwybitniejsze talenty, najślawniejsi uczeni zgromadzili się u pięknej wygnanki mediolańskiej. Śpiewano. Wielcy nasi artyści kolejno zbliżali się do pianina, zachwycając słuchaczy wyborem najcelniejszych utworów; wtem ktoś wymówił twoje nazwisko. Dlaczego serce moje zabiło tak gwałtownie? Nie wiem; nie znałem cię przecież. Księżna wstała i poprowadziła cię, jak ofiarę, do fortepianu. Powiedz mi, dlaczego widząc cię zmieszana, doświadczyłem uczucia bojaźni, jak gdybyś była moją siostrą, ja, który przed kwadransiem zaledwie po raz pierwszy cię ujrzałem? Drżałem silniej niż ty sama, a ty nie domyślałaś się nawet, że w tłumie otaczającym cię znajduje się serce bratnie, które upaja się twoim triumfem. Uśmiechnęłaś się; pierwsze tony twego głosu dały się słyszeć drżące i niepewne; lecz wkrótce dźwięki czyste i srebrzyście dźwięczne rozległy się w sali; twoje oczy spuszczone wzniosły się ku niebu. Zapomniałaś o otaczającym cię tłumie, nie wiem nawet, czy zwróciłaś uwagę na oklaski, którymi cię obsypywano. Była to pieśń Belliniego, melodyjna i prosta, a jednak pełna łez, które on jeden umiał wywoływać. Nie klaskałem — lecz... płakałem wtedy. Odprowadzono cię na miejsce, obsypując pochwałami; ja tylko nie śmiałem się zbliżyć; umieściłem

się tak, abym mógł ani na chwilę z oczu cię nie stracić. Bawiono się, śpiewano, ja nie widziałem już nic i nikogo prócz ciebie. Czy przypominasz sobie ten wieczór?

— Tak, zdaje mi się, że pamiętam.

— Od tego czasu — mówiłem dalej, zapominając, że przerywam jej opowiadanie — raz jeszcze słyszałem — nie tę samą pieśń, lecz śpiew ludowy na tę samą nutę. Było to na Sycylii, wieczorem takim, jakim Bóg obdarza tylko Włochy i Grecję; słońce zachodziło poza Girgenti, dawne Agrigente. Siedziałem na kamieniu przy drodze, po lewej stronie mając ginące w nocnych cieniach ruiny miasta, wśród których ukazywały się z dala stojące świątynie, dalej morze spokojne i gładkie jak srebrne zwierciadło; po prawej miasto odbijające się na tle złotym, podobne do jednego z tych obrazów pierwszej szkoły florentyńskiej, który przypisują pędzlowi Gaddego lub Giotto. Przed sobą ujrzałem młodą wieśniaczkę z dzbanem, w kształcie pysznej amfory, napełnionym wodą; szła śpiewając, a śpiewała pieśń, o której ci mówiłem. Gdybyś wiedziała jakiego uczucia doznałem! Ukryłem twarz w dłoniach, a morze, miasto, świątynie, nawet ta córka Grecji, która jak wróżka cofnęła mnie o trzy lata i przeniosła do salonów księżny B., wszystko, co było przede mną, zniknęło. Widziałem ciebie, ciebie słyszałem, patrzyłem zachwycony, nareszcie głęboka boleść opanowała moje serce; nie byłaś już wtedy młodą dziewczyną, którą tak kochałem, którą nazywano Paulina de Meulien — lecz hrabiną de Beuzeval. Niestety!... niestety!

— Och! Tak, niestety!... — szepnęła Paulina.

I przez kilka chwil byliśmy pogrążeni w milczeniu. Paulina przerwała pierwsza.

— Tak, szczęśliwe to były lata mojego życia. Młode dziewczęta nie pojmują całego swego szczęścia: nie wiedzą, że boleść nie śmie dotknąć aureoli, która je otacza. Tak, byłam szczęśliwa przez trzy lata i przez ten cały czas raz tylko jeden świetne młodzieńcze moje marzenia pokryły się chwilowo smutkiem. Zdawało mi się, że kocham; brałam za miłość dziewczęce jakieś niewinne

uczucie. Latem zamieszkiwaliśmy nasz zamek de Meulien, na zimę powracaliśmy do Paryża. Lato upływało na zabawach wiejskich, zima zaledwie wystarczała na przyjemności miasta; nie przypuszczałam nawet, aby życie tak czyste i spokojne mogło kiedykolwiek się zmienić; żyłam pełną ufności i szczęścia.

Nadeszła jesień 1830 roku.

Sąsiadką naszą na wsi była pani de Lucienne, której mąż był wielkim przyjacielem mojego ojca; córka zaś jej, Łucja, serdeczną moją przyjaciółką.

Pewnego wieczoru zaprosiła nas na dzień następny do swego zamku. Miało się tam odbyć polowanie na dzika, na które mąż jej i synowie zaprosili kilku młodych ludzi z Paryża.

Gdy przyjechaliśmy do pani de Lucienne, myśliwi byli już odjechali; ponieważ jednak zwierzyniec otoczony był murem, można było w każdej chwili połączyć się z nimi. Od czasu do czasu dochodził nas odgłos trąbki, używaliśmy więc przyjemności polowania bez zmęczenia. Pan de Lucienne został w naszym towarzystwie, a syn jego Paweł przewodniczył polowaniu.

Okolo południa odgłos rogu coraz bardziej się przybliżał, słyszeliśmy powtarzającą się tę samą nutę; pan de Lucienne powiedział nam, że dzik już musi być zmęczony i jeżeli chcemy, możemy się połączyć z myśliwymi; w tej chwili jeden ze strzelców przybył galopem, prosząc w imieniu Pawła, abyśmy pospieszyli, gdyż za chwilę dzik będzie napastowany przez psy. Pan de Lucienne przytroczył karabin do siodła, wsiedliśmy na konie wszyscy troje i pospieszyli na oznaczone miejsce. Matka moja i gospodyni domu udały się do pawilonu, obok którego odbywało się polowanie.

Wkrótce połączyliśmy się z myśliwymi, chociaż w pierwszej chwili uczuwałam wstręt do podobnego rodzaju zabawy, wkrótce jednak odgłos rogu, szybkość jazdy, ujadanie psów, okrzyki myśliwców wpłynęły na nas tak, że zaczęliśmy z Łucją Lucienne galopować na równi z najzręczniejszymi jeźdźcami. Już dwa czy trzy razy na oczach naszych dzik przebiegł aleję, coraz

blżej dopędzany sforą psów. Na koniec oparł się o gruby dąb, odwrócił i zdawał się czekać zaczepki. Było to na skraju małej polanki, na którą wychodziły okna pawilonu. Pani de Lucienne i moja matka mogły więc doskonale widzieć koniec walki.

Myśliwi, ustawieni w półkole, znajdowali się o jakie 50 kroków od dzika. Psy pobudzone długą gonitwą rzuciły się na zwierza, który znikł prawie pod tą ruchomą różnobarwną masą. Od czasu do czasu któryś z napastników wyrzucony ze sfory, powracał do walki zaciętej z wyciem.

Walka ta trwała zaledwie od kwadransa, a z dziesięć już psów było śmiertelnie poranionych. Krwawy ten widok okrutną był dla mnie męczarnią, podobne wrażenie sprawiał i na innych widzach, bo usłyszałam głos pani de Lucienne wołającej:

— Dosyć już, dosyć! Proszę cię Pawle, dosyć!...

Wówczas Paweł zeskoczył z konia, z karabinem w ręku przyskoczył do dzika i wystrzelił. Zwierz, szybki jak błyskawica, w jednym oka mgnieniu oswobodziwszy się spośród zgrai psów, całym swym ciężarem powalił na ziemię i przygniół Pawła de Lucienne.

Nastąpiła chwila straszego milczenia: pani de Lucienne blada jak śmierć, z rękami wyciągniętymi do syna, chciała mówić — lecz szept zaledwie wychodził z jej ust pobladłych; pan de Lucienne sam uzbrojony w karabin, chciał strzelić; Paweł jednak był przygnieciony przez dzika. Najmniejsze zboczenie kuli... a ojciec zabiłby syna. Zadrzał więc konwulsyjnie, a widząc niepodobieństwo działania, opuścił broń na ziemię i pobiegł tylko w stronę Pawła, wołając ratunku. W tej chwili jeden z młodych ludzi zeskoczył z konia i głosem silnym i rozkazującym zawołał:

— Na miejsca!...

Myśliwi cofnęli się.

Oczy wszystkich zwróciły się na strzelca i na straszliwy cel do jakiego zmierzył; on zaś spokojny, niewzruszony, jak gdyby to była zabawka tylko,

podniósł z wolna karabin, potem stanąwszy na pewnym wzniesieniu nieporuszony jak wyrzeźbiony z kamienia wystrzelił... dzik padł bez życia o dwa lub trzy kroki od Pawła, który pozbywszy się swego napastnika ukląkł w postawie obronnej, z nożem myśliwskim w rękę; kula jednak kierowana była zbyt wprawną ręką, dzik leżał martwy, bez życia. Pani de Lucienne zemdląła, Łucja byłaby spadła z konia, gdyby jeden z myśliwych nie był ją wstrzymał, ja zeskoczyłam z mego i pobiegłam do pani de Lucienne; co do innych widzów, ci otoczyli Pawła i zabitego dzika. Sam tylko zbawca nieszczęsnego młodzieńca najspokojniej oglądał swój karabin.

Pani de Lucienne odzyskała zmysły w objęciach męża i syna, lekko zaledwie zranionego w nogę.

Skoro pierwsze wrażenie minęło, pani de Lucienne chciała podziękować temu, któremu winną była życie syna; pan de Lucienne przyprowadził go do niej, pochwyciła jego rękę, lecz zalana łzami wymówiła tylko: panie de Beuzeval!...

— On to więc był? — zawołałem.

— Tak, to był on. Ujrzałam go po raz pierwszy otoczonego rodziną, która mu winna była życie jednego z swych członków; pod wrażeniem wzruszającej sceny, której był bohaterem. Był to młody człowiek, blady, więcej niski niż wysoki, z włosami blond i czarnymi oczyma. Na pierwszy rzut oka wyglądał zaledwie na lat dwadzieścia; lecz przyjrząwszy mu się baczniej dostrzec było można maleńkie zmarszczki nad skroniami oraz głęboką bruzdę przerzynającą czoło i oznaczającą, iż w głębi jego serca czy duszy nurtowały jakieś myśli głębokie i namiętne; usta miał blade i wąskie, zęby piękne, ręce jak u kobiety, całość w pierwszej chwili wywarła na mnie wrażenie raczej wstrętu niż sympatii.

Połowanie było skończone; powrócono do zamku. Wchodząc do salonu, hrabia Horacy de Beuzeval przeprosił gospodynię domu, że powróci na obiad do Paryża. Zwrócono mu uwagę, że ma przed sobą przynajmniej cztery godziny

drogi, odpowiedział z uśmiechem, że koń jego przyzwyczajony jest do dalekich kursów i rozkazał służącemu przyprowadzić go.

Służący ten, był to Malajczyk, którego hrabia przywiózł z Indii, gdzie jeździł po odebranie jakiegoś spadku. Malajczyk, pomimo iż od trzech lat był we Francji, zachował jednak ubiór swego kraju i mówił tylko macierzystym językiem, którego hrabia znał kilka wyrazów i tymi porozumiewał się z nim. Malajczyk wypełnił natychmiast rozkaz pana i wkrótce przez okna salonu ujrzeliśmy rżące konie, nad których pięknnością wszyscy panowie unosili się; rzeczywiście pyszne to były zwierzęta: książe Kondeusz chciał je nabyć, ale hrabia Horacy podwoił sumę ofiarowaną przez księcia krwi królewskiej i pozostał ich właścicielem.

Wszyscy odprowadzili hrabiego aż do przedsionka; pani de Lucienne ścisnęła jego rękę prosząc, aby powrócił. Hrabia przyrzekł, rzucając mi szybkie wejrzenie, przed którym spuściłam oczy; gdy je podniosłam, hrabia siedział już na koniu. Ukłonił się raz jeszcze pani de Lucienne i wszystkim obecnym; Pawłowi przesłał ręką przyjacielskie pozdrowienie i puściwszy cugle konia, który go uniósł w galopie, zniknął w jednej chwili na zakręcie drogi.

Wszyscy pozostali na miejscu patrząc za nim w milczeniu. W człowieku tym było coś nadzwyczajnego, przykuwającego doń uwagę. Był to jeden z tych organizmów silnych, które natura jakby przez dziwny kaprys umieszcza niekiedy w słabym ciele; cała powierzchowność hrabiego składała się z kontrastów. Tym, którzy go nie znali, przedstawiał się jako człowiek organizacji wątej i delikatnej, dotknięty jakby chorobą chroniczną; przyjaciołom i znajomym wydawał się człowiekiem z żelaza, opierającym się znużeniu, znoszącym wszelkie wrażenia i poskramiającym swe zachcianki z siłą niezwykłą.

Paweł widywał go przepędzającego całe noce przy kartach lub ucztach, a nazajutrz, gdy towarzysze jego zabaw odpoczywali, on zaledwie po godzinie snu odjeżdżał na nowe polowanie lub wyścigi z nowymi towarzyszami, których

tak samo jak pierwszych pozostawiał, sam bledszy tylko, bez innej oznaki zmęczenia.

Nie wiem, dlaczego słuchałam wszystkich tych szczegółów z tak wielkim zajęciem. Silne wrażenie, jakiego doznałam, przyczyniło się do tego. Zresztą, do przykucia do siebie ogólnej uwagi, najzręczniejsze wyrachowanie nie mogło obrać lepszego środka nad ten nagły odjazd, po którym zamek pozostał jakby samotnym bez tego, który tak wielkie w nim na wszystkich wywarł wrażenie.

Podano obiad. Rozmowa, przerwana na chwilę, ożywiła się na nowo przy deserze, i hrabia znowu był przedmiotem ogólnej rozmowy, wtenczas dały się słyszeć rozmaite zdania, znalazły się głosy zaprzeczające tyłu doskonałościom; zastanawiano się nad szczególnym sposobem jego życia, nad majątkiem, którego źródło było nieznane i nad jego odwagą, którą jeden z gości przypisywał wielkiej zręczności we władaniu sztyletem i pistoletem. Paweł naturalnie wziął stronę tego, który ocalił mu życie. Hrabia Horacy, podług niego, prowadził życie światowe; majątek odziedziczył po wuju swej matki, który w Indiach przez lat piętnaście pozostawał; co zaś do jego odwagi, tej zaprzeczyć mu niepodobna, bo dał dowody nie tylko w kilku pojedynkach, z których wyszedł bez szwanku, ale i w innych okolicznościach. Wówczas to Paweł był bohaterem, a szczególnie głęboko utkwiał w mojej pamięci jeden z epizodów jego opowieści.

Otóż hrabia Horacy przybywszy do Goa, nie zastał już wuja swego przy życiu, ale testament zrobiony na jego korzyść nie mógł być obalony, pomimo że dwóch młodych Anglików, krewnych zmarłego (matka bowiem jego była Angielką), mieli te same, co i on, prawa do dziedzictwa. Zresztą Anglicy ci byli bogaci i zajmowali wysokie stanowiska w służbie wojskowej, stali oni garnizorem w Bombaju. Przyjęli więc swojego kuzyna, jeżeli nie życzliwie to przynajmniej grzecznie i przed jego odjazdem do Francji, wraz z kilkoma oficerami załogi, zaprosili go na obiad.

Hrabia był wówczas o cztery lata młodszy i zdawało się, iż nie ma więcej

nad lat 18, chociaż miał ich dwadzieścia pięć; postać jego pełna wdzięku, cera blada, białość rąk dawały mu pozór kobiety przebranej za mężczyznę. Na pierwszy rzut oka, oficerowie angielscy z powierzchowności sądząc o jego odwadze, widocznie chcieli go wziąć za cel swej zabawy. Hrabia z właściwą sobie przenikliwością zrozumiał ich zamiary i postanowił mieć się na baczności, nie opuścić Bombaju, nie dawszy dowodu siły swej i odwagi. Siadając do stołu, dwaj młodzi kuzynkowie zapytali Horacego, czy mówi po angielsku, hrabia chociaż znał doskonale ten język, odpowiedział, iż nie rozumie ani słowa i prosił tych panów, aby jeżeli życzą sobie z nim rozmawiać używali francuskiego.

Wyznanie to rozwiązało język zgromadzonym i od pierwszego dania hrabia spostrzegł, że był przedmiotem nieustannych żartów. Nie wydawał się jednak z niczym i słuchał ich rozmów z uśmiechem na ustach, a wesołością w oczach; tylko jego lica bladły coraz bardziej, a zęby ukruszyły kawałek kieliszka do ust poniesionego. Przy deserze rozmowa ożywiła się jeszcze bardziej, zaczęto mówić o polowaniu, zapytano hrabiego na jaką zwierzynę i w jaki sposób polował we Francji. Hrabia odgrywający swoją rolę do końca odpowiedział, że nad wszystko przekłada polowanie z psami gończymi na kuropatwy lub zające, lub też w lesie na lisy i sarny.

— Ach, ach! — zawołał, śmiejąc się jeden z współbiesiadników — Polujecie na zające, lisy i sarny? My zaś tu polujemy tylko na tygrysy...

— A w jaki sposób? — zapytał Horacy z udaną dobroduszością.

— W jaki sposób? — odpowiedział drugi — Siedząc na słoniach z niewolnikami uzbrojonymi w piki i siekiery, którzy zastępują drogę tygrysom, gdy tymczasem inni niewolnicy nabijają nam broń, z której my strzelamy.

— Musi to być prawdziwa przyjemność — odpowiedział hrabia.

— Wielka szkoda — rzekł jeden z młodych ludzi — że kochany kuzyn już odjeżdża, byłibyśmy mu urządzili takie polowanie.

— Doprawdy! — zawołał Horacy — Serdecznie tego żałuję i gdybym nie potrzebował czekać zbyt długo, pozostałbym jeszcze w Bombaju.

— Doskonale się zdarza — odpowiedział pierwszy — o trzy mile stąd właśnie, w bagnisku, leżącym u stóp gór ciągnących się od strony Suratu jest tygrysica z małymi. Indusi donieśli nam o tym wczorajszego wieczora; chcieliśmy zaczekać, aż małe podrosną, aby odbyć polowanie podług wszelkich zasad, ale kiedy nam się zdarza sposobność zrobienia ci przyjemności, kuzynie, przyspieszymy wyprawę o dwa tygodnie.

— Bardzo wam jestem wdzięczny — odrzekł hrabia — ale czy tygrysica z pewnością tam się znajduje?

— Bez żadnej wątpliwości.

— A czy wiedzą, gdzie jest jej legowisko?

— Łatwo je można dostrzec, wchodząc na skałę okrążającą bagna, ślady jej, które prowadzą do środka jakby promienie gwiazdy, poznać można po trzcinie połamanej.

— A więc! — zawołał hrabia, napełniając szklanę winem i powstając dla wzniesienia toastu — Za zdrowie tego, który pójdzie zabić tygrysicę, pomiędzy dwoma jej małymi, sam, pieszo, bez innej broni jak ten puginał.

To mówiąc, wyjął z za pasa niewolnika malajskiego puginał i położył go na stole.

— Czyś oszalał? — zawołał jeden z obecnych.

— Nie, panowie, nie jestem szalony — odpowiedział hrabia z goryczą pomieszaną z pogardą — i na dowód tego ponawiam mój toast! Słuchajcie mnie więc dobrze, ażeby ten, który zakład przyjąć zechce, wiedział do czego się zobowiązuje, wychylając tę szklanę. Za zdrowie więc tego — powtarzam, który sam, pieszo, bez innej broni jak ten sztylet, pójdzie zabić pomiędzy dwoma małymi tygrysicę!

Nastało milczenie, podczas którego hrabia badał kolejno twarze wszystkich biesiadników, ci pospuszczali głowy.

— Nikt nie odpowiada? — zapytał z gorzkim uśmiechem — Nikt nie śmie przyjąć tego toastu... nikt nie ma odwagi dać mi zadośćuczynienia... A więc

dobrze, w takim razie ja sam tam pójdę... a jeżeli nie dotrzymam słowa, powiecie, że jestem nędznikiem, tak jak ja mówię dziś, że wy jesteście podli!

Po tych słowach hrabia wychylił duszkiem wino, postawił spokojnie szklanę na stole, a zbliżając się ku drzwiom zawołał:

— Do jutra panowie! — i opuścił salę.

Nazajutrz był już o szóstej rano gotów na to straszliwe polowanie. W tej chwili wszyscy wczorajsi biesiadnicy weszli do pokoju. Przychodzili prosić go, ażeby odstąpił od fatalnego zamiaru, którego skutek nie mógł być dla niego pomyślny. Hrabia jednak nawet słuchać nie chciał. Przepraszali go. Przyznawali, iż postąpili jak młodzi szaleńcy. Horacy przyjął ich tłumaczenie, podziękował za dobre chęci, ale odpowiedział, iż musi doprowadzić do skutku swój zamiar. Wówczas prosili jeszcze, ażeby wybrał jednego z nich i w pojedynku zmazał obrazę. Lecz hrabia odpowiedział z ironią, iż jego zasady religijne nie pozwalają mu przelewać krwi bliźniego bez potrzeby i że ze swej strony odwołuje słowo obrażające, które wymówił; lecz od polowania za nic w świecie nie odstąpi. Po tych słowach zaproponował, aby zebrani towarzyszyli mu konno i byli świadkami jego walki, uprzedzając, że jeżeli nie zechcą zrobić mu tego zaszczytu, to i tak uda się sam na miejsce wskazane. Oficerowie, widząc to niewzruszone postanowienie, nie śmieli dłużej nalegać i umówili się, iż się stawią o godzinie oznaczonej przy wschodniej bramie miasta.

Cały orszak w milczeniu postępował ku miejscu oznaczonemu, każdy jeździec miał dubeltówkę z dwoma nabojami i karabin. Jeden hrabia był bez broni; ubrany po cywilnemu, jak gdyby się udawał na przejażdżkę do lasu Bulońskiego. Wszyscy oficerowie spoglądali na niego z zadziwieniem, nie mogąc dać wiary, aby do końca mógł zachować zimną krew.

Przybywszy do bagna, oficerowie na nowo zaklinali go, aby nie postępował dalej, wtem dał się słyszeć przeciągły ryk, odległy zaledwie o sto kroków.

— Widzicie panowie sami, że jest już za późno, by się cofać; jesteśmy odkryci, zwieryz wie, że tu jesteśmy; a nie chciałbym opuścić Indii, których już

prawdopodobnie nigdy nie zobaczą, i pozostawić po sobie fałszywej opinii, nawet u tygrysów. Naprzód więc! — zawołał — i skierował konia ku bagnom, na miejsce, gdzie pod wysoką skałą połamana trzcina wskazywała legowisko tygrysicy.

Gdy się zbliżył do skały, nowy ryk dał się słyszeć, ryk tak silny i bliski, że jeden z koni cofnął się nagle i o mało nie wysadził jeźdźca z siodła; inne pokryte pianą, z dzikim wejrzeniem drżały na nogach, jak gdyby wyszły ze zlodowaciałej wody. Wówczas oficerowie posiadali z koni i oddali je pod straż służących, a hrabia pierwszy zaczął się wdzierać na wierzchołek skały, ażeby rozpoznać położenie.

W istocie, z wierzchołka dostrzegł połamaną przez straszego zwierza trzcinę i ścieżki szerokie prawie na dwie stopy, utworowane wśród wysokiej trawy, i miejsce, gdzie stratowane rośliny tworzyły rodzaj małej polanki. Trzeci ryk, wychodzący z tego miejsca, rozproszył wszelkie wątpliwości i wskazał dokładnie hrabiemu, gdzie ma szukać nieprzyjaciela.

Wówczas jeden z najstarszych oficerów przybliżył się jeszcze raz do hrabiego, lecz ten, domyślając się jego zamiaru, skinął mu ręką na znak, że wszelkie perswazje nie odniosą żadnego skutku. Zapiął surdut, poprosił jednego z kuzynów o pożyczenie mu szarfy jedwabnej, którą się przepasywał, obwiązał nią lewą rękę, skinął na Malajczyka o sztylet i kazał go sobie przywiązać do ręki prawej chustką fularową zmaczaną w wodzie, a postawiwszy kapelusz na ziemi i zręcznie odrzuciwszy w tył włosy, skierował się najkrótszą drogą ku trzcinie, wśród której zniknął, pozostawiając swych towarzyszy, spoglądających z przerażeniem na siebie i nie mogących uwierzyć takiej zuchwałości. On tymczasem postępował z wolna i ostrożnie ścieżką wytkniętą tak prosto, że nie mógł z niej ani na prawo, ani na lewo zboczyć. Uszedłszy ze dwieście kroków usłyszał głucho chrapnięcie, które wskazywało, że nieprzyjaciel ma się na baczności, i że jeżeli jeszcze nie jest dostrzeżony, będzie nim za chwilę. Zatrzymał się jednak i jak tylko głos ucichł, postępował dalej. Po ujściu jeszcze

pięćdziesięciu kroków na nowo się zatrzymał; musiał już być blisko celu, bo wchodził na łączkę, która zasiana była ogryzionymi kośćmi, niektóre z nich pokryte jeszcze były świeżą krwią. Spojrzał wokoło i w zagłębieniu zrobionym wśród traw i zielska ujrzał tygrysicę na pół leżącą z paszczą rozwartą, z oczyma zwróconymi na niego; małe bawiły się pod jej brzuchem jak młode kocięta.

Jakie wrażenie widok ten na nim sprawił, on tylko mógłby to powiedzieć, lecz dusza jego to przepaść, z której nic nie wychodzi.

Przez jakiś czas tygryś i on patrzyli na siebie nieporuszeni. On domyślając się, że zwierzę lęka się opuścić swe małe i dlatego nie idzie naprzeciw niego, sam o jakie cztery kroki postąpił ku niej; widząc, że tygryś robi poruszenie, jakby się podnieść chciała, rzucił się na nią. W powietrzu zadrgał ryk przeciągły, przeraźliwy i jednocześnie usłyszano okrzyk. Trzcina zachwiała się, a potem zapanował spokój i złowrogie milczenie.

Wszystko się skończyło.

Widzowie tej sceny stali jeszcze przez chwilę, czekając na powrót hrabiego. Nie powrócił jednak.

Wówczas zawstydzili się, iż mu pozwolili odejść samemu i postanowili przynajmniej ocalić jego trupa, jeżeli nie ocalili mu życia. Doszli do łączki i ujrzeli dwóch przeciwników leżących jeden na drugim; tygryś była nieżywa, a hrabia zemdlony. Co do dwojga szczeniąt, te zbyt słabe, by gryźć ciało — lizały krew ofiary.

Tygryś miała siedemnaście ran zadanych sztyletem, hrabia przegryzioną zębami prawą rękę i rozdarte pazurami piersi.

Oficerowie unieśli ciało człowieka i trupa tygryśy, człowiek i zwierzę na jednych noszach wniesieni byli do Bombaju; małe — Malajczyk związał w turban i zawiesił po obu stronach siodła.

Gdy hrabia po dwóch tygodniach powstał z choroby, zobaczył przed łóżkiem leżącą pysznie wyprawioną skórę tygryśy z zębami z pereł, oczyma z rubinów i pazurami ze złota. Był to dar oficerów pułku, w którym służyli jego

kuzynowie.

ROZDZIAŁ VIII

— Opowiadanie to głębokie na mnie wywarło wrażenie. Męczyzna najprędzej podbija serce kobiety odwagą. Jest to wynik słabości naszej, czy też to, że same przez się nic uczynić nie mogąc, wiecznie potrzebujemy czyjejs podpory? Nie wiem. Bądź co bądź, wszystko co mówili na niekorzyść hrabiego zostało zapomniane; pozostało mi tylko w umyśle wspomnienie tych dwóch polowań, z których jednego sama byłam świadkiem. Nie bez pewnej trwogi jednakże myślałam o tej zimnej krwi, której Paweł winien był życie. Ileż to walk stoczyło serce tego człowieka, zanim wolą poskromił jego bicie, jak straszny ogień musiał przepalić tę duszę, by ją tak zahartować i w zimną stal zamienić.

Prawdziwą plagą naszej epoki jest wieczna gonitwa za romantycznymi przygodami, oddalająca nas od prostoty. Im więcej materialnym robi się społeczeństwo, tym wyobraźnia staranniej poszukuje nadzwyczajności, która coraz więcej niknąc ze świata, chroni się na deski teatrów i karty romansów; stąd też pochodzi ich wpływ uludny, na takie jak moje usposobienia. Nie będziesz się więc dziwić, jeżeli postać hrabiego Horacego ukazała się wyobraźni młodej dziewczyny otoczona całym urokiem i zajęła umysł, w którym dotąd tak niewiele wypadków zostawiło swe ślady. Toteż kiedy w kilka dni po polowaniu zobaczyliśmy w wielkiej alei zamkowej dwóch młodych ludzi, i kiedy zaanonsowano nam Pawła i hrabiego de Beuzeval, po raz pierwszy w życiu uczułam gwałtowne bicie serca, oczy mi się zaćmiły, wstałam zamierzając uciec z pokoju, lecz matka zatrzymała mnie.

Obydwaj panowie weszli. Nie wiem, co do nich mówiłam, jednak musiałam im się przedstawić jak nieśmiała i niezgrabna dziewczyna; gdy podniosłam oczy, ujrzałam hrabiego Horacego patrzącego na mnie szczególniejszym

wzrokiem, którego nie zapomnę nigdy; po chwili jednak uspokoiłam się i odzyskałam przytomność, tak że mogłam patrzeć na niego i rozmawiać z nim tak jak z Pawłem.

Znalazłam w nim tę samą obojętność, ten sam wzrok nieruchomy i głęboki, który takie wywarł na mnie wrażenie, lecz co więcej, łagodny głos, który równie jak ręka jego i noga zdawał się właściwszym dla kobiety niż dla mężczyzny. W miarę jak się ożywiał, głos jego nabierał siły.

Paweł, jako wdzięczny przyjaciel, skierował rozmowę na przedmiot, w którym hrabiego chciał przedstawić w jak najkorzystniejszym świetle. Zaczął mówić o jego podróżach. Hrabia przez chwilę zdawał się wahać, czy może dać się pociągnąć w rozmowę, wmieszać swoje ja do banalnej paplaniny, właściwej zwykle na pierwszych wizytach.

Wkrótce jednak wspomnienie zwiedzanych przez niego okolic pociągnęło go ku sobie. Pełne malowniczego wdzięku i swobody życie dzikich krain stoczyło krótką walkę ze zwyczajami cywilizowanego świata i odniosło nad nim zwycięstwo. Hrabia z uniesieniem przedstawił nam widok cudownej podzwrotnikowej roślinności, opis wycieczek swoich, walkę z piratami, wskrzesił barwnym słowem życie swobody pełne, a dostarczające co chwila nowej dla serca lub umysłu rozrywki, przedstawił nam człowieka, jako pana stworzenia, który nie zna granic innych, prócz granic horyzontu — innej woli nad wolę kaprysów swych i upodobań. Nagle szybkim zwrotem zwrócił się ku obyczajom życia codziennego, wśród ludzi o podciętych skrzydłach, skrepowanej woli. Życie salonów przedstawił jak nędzną komedię, w której wszystko jest fałszem i udaniem — małostką lub słabością. Mówił to z nieopisaną gorzką ironią, z żywym dowcipem. Natura jego była burzliwa i namiętna; toteż wśród pęt towarzyskich form, zwyczajów miotał się jak lew uwięziony i wyrywał się z nich wkrótce ku wolności i swobodzie.

Słuchałam tej strasznej filozofii, jak gdybym czytała Byrona lub Goethego, była to ta sama siła myśli, podniesiona siłą wyrażenia. Wówczas dopiero postać

jego niewzruszona i obojętna zrzuciła maskę z lodu, ożywiła się ogniem, oczy rzucały błyskawice, głos tak słodki nabierał dźwięku i siły, a uniesienie i gorycz, nadzieja czy pogarda, poezja i proza życia, wszystko to topniało w uśmiechu, jakiego nigdy u nikogo nie widziałam, a który sam w sobie zawierał więcej rozpaczy i pogardy aniżeli najboleńsze łkanie.

Po godzinnej wizycie Paweł i hrabia odjechali. Gdy opuścili salon, spojrzaliśmy na siebie w milczeniu; zdawało mi się, iż kamień spadł mi z serca, obecność tego człowieka ciążyła mi jak obecność Mefistofelesa Małgorzacie Goethego; wrażenie jakie wywarł na mnie było tak widoczne, że matka nie czekając na to, co powiem, bronić go zaczęła, biorąc sofizmaty jego tak śmiało wygłaszane, za grę słów dowcipnych, najzwyczajniejszą obmowę z tą różnicą, że dotyczyła ona całego społeczeństwa. Matka moja ani jego cnót zanadto nie podnosiła, ani też nie potępiała go, jak to czyniłam ja w głębi serca; różnica zdań naszych wpłynęła na to, iż nie chcąc przekonywać mej matki udałam, iż nie myślę już więcej o tym przedmiocie. Po dziesięciu minutach opuściłam też salon pod pozorem bólu głowy i udałam się do parku; tam już nic nie mogło przerwać ciągu mych myśli. Zaledwie zrobiłam sto kroków, musiałam wyznać przed sobą, że jeżeli nie chciałam mówić o nim, to dlatego jedynie, aby tym swobodniej móc o nim myśleć. Przekonanie to przeraziło mnie; nie kochałam hrabiego i gdy oznajmiono jego przybycie, serce moje było raczej z bojaźni niż z radości, nie lękałam się go przecież, bo nie miałam powodu do obawy i zdawało mi się, że on nie może mieć wpływu na przyszłość moją.

Po raz pierwszy przypadek sprowadził go na moją drogę, wizyta jego była prostym dowodem uprzejmości — myślałam — toteż może już nigdy więcej go nie zobaczę; z jego usposobieniem awanturnicznym, zamiłowaniem do podróży, mógł lada chwila opuścić Francję, jego ukazanie się mogłam uważać za sen, zjawisko, nic więcej. Tak rozmyślając, usłyszałam dzwonek wzywający na obiad. Zadrzałam, godziny mijały jak minuty.

Gdy wróciłam do salonu, matka moja oddała mi list od hrabiny M., która

pomimo lata pozostała w Paryżu i z powodu urodzin swej córki, zapraszała nas na wielki wieczór w połowie tańczący, w połowie zaś muzykalny. Przyjęłam zaproszenie z pośpiechem, rada, że myśli, które tak bardzo mnie opanowały, rozerwę cokolwiek; miałyśmy zaledwie trzy dni do przygotowań; miałam też nadzieję, że wśród zajęć toaletowych przestanę myśleć o nim. Mówiłam o projektowanej zabawie z takim zajęciem, jakiego moja matka nigdy we mnie nie dostrzegła; chciałam tego samego dnia jeszcze jechać do Paryża, pod pozorem, że niewiele mamy czasu do kupna sukien i kwiatów: w rzeczywistości jednak szło mi jedynie o zmianę miejsca, która by mi dopomogła w walce przeciwko wspomnieniom. Matka moja ze zwykłą dobrocią przystała na moje życzenie; wyjechałyśmy zaraz po obiedzie.

Nadzieje nie omyliły mnie, zajęcia i przygotowania do tak rzadkiego w tej porze balu oderwały uwagę moją od nierozsądnej trwogi i oddaliły na chwilę widmo, które mnie ścigało. Cały dzień balu przepędziłam w gorączkowej działalności, jakiej matka moja nigdy dotąd u mnie nie widziała; była też tak szczęśliwa z oczekiwanej dla mnie przyjemności! Biedna matka!...

Dziesiąta wybiła, ja od dwudziestu minut byłam już gotowa; ja, co zawsze się opóźniałam, dziś czekałam na matkę. Pojechałyśmy na koniec; całe prawie nasze towarzystwo zimowe powróciło do Paryża, na tę zabawę. Spotkałam dawne moje pensyjne koleżanki, przyjaciółki karnawałowe, zwykłych tancerzy i odnalazłam dawną żywą przyjemność i wesołość młodej dziewczyny, którą już od roku tracić zaczynałam.

Ścisk był szalony, podczas chwilowego odpoczynku hrabina M. zaprowadziła mnie do salonu gry, ażeby mi wskazać najślawniejszych artystów, literatów i poetów, jacy się tam znajdowali; wielu z nich znałam już dawniej, lecz byli i tacy, których po raz pierwszy w życiu spotykałam. Pani M. wymieniła mi kolejno ich nazwiska, dodając uwagi, których niejedyn dowcipny felietonista jej pozazdrościł, gdy nagle wchodząc do jednego salonu zadrżałam i mimo woli zawołałam:

— Hrabia Horacy!

— Czy znasz go? — zapytała pani M. z uśmiechem.

— Widziałyśmy go na wsi u pani de Lucienne.

— Ach, prawda — zawołała hrabina — słyszałam o jakimś polowaniu, o przypadku pana Pawła.

W tej chwili hrabia podniósł oczy i ujrzał nas. Coś podobnego do uśmiechu ukazało się na jego ustach.

— Panowie! — zawołał do trzech swoich partnerów — Czy pozwolicie, bym się oddalił? Przyślę wam zastępcę.

— Cóż znowu? — odpowiedział Paweł — Wygrałeś od nas cztery tysiące franków, a na zastępcę przyślesz nam takiego, co ma dziesięć luidorów w kieszeni. Nie, nie chcemy.

Hrabia usiadł, postawił wszystkie wygrane pieniądze na kartę. Przeciwnik jego ściągnął bank, hrabia rzucił kartę nie patrząc na nią.

— Przegrałem! — zawołał i posunął złoto i bilety ku bankierowi. — A teraz czy jestem wolny? — zapytał Pawła.

— Jeszcze chwilę, kochany przyjacielu — odpowiedział Paweł i odkrywwszy karty hrabiego wskazał, iż jest wygrany.

Wówczas hrabia Horacy obracając się w naszą stronę, zwracając mowę do gospodyni domu zawołał:

— Wszak panna Eugenia dzisiaj kwestować będzie na biednych? Pozwoli więc pani, bym moją część na jej ręce złożył.

To mówiąc wziął mały koszyczek stojący na stoliczku, włożył w niego osiem tysięcy franków i podał je hrabinie.

— Doprawdy nie wiem, czy mogę to przyjąć? — odpowiedziała pani M. — Suma jest tak wielka!

— Toteż — odpowiedział hrabia Horacy z uśmiechem — nie tylko w swoim imieniu ją ofiaruję; ci panowie bardzo wiele się do tego przyłożyli i im to panna Eugenia powinna podziękować za swoich protegowanych.

Wymówiwszy te słowa, przeszedł do sali balowej, pozostawiając w rękach hrabiny koszyk pełen złota i papierów bankowych.

— Otóż i nowy ekscentryczny wybryk jego — powiedziała pani M. — Spostrzegł zapewne jakąś damę, którą ma ochotę zaprosić do tańca i oto jest cena, którą płaci za tę przyjemność. Muszę jednak schować te pieniądze, pozwól więc, bym cię odprowadziła do salonu.

Pani M. zaprowadziła mnie do mojej matki. Zaledwie usiadłam, hrabia przybliżył się do nas i zaprosił mnie do tańca.

W tej chwili przyszły mi na myśl słowa, tylko co wymówione przez hrabinę; zarumieniłam się, pokazując mu książeczkę, na której poprzednio sześciu tancerzy się zapisało; odwrócił kartkę i jak gdyby nie chciał, by imię jego było pomieszanane z innymi, zapisał się na innej kartce do siódmego kadryla, a oddając mi notyskę wymówił kilka słów, których w pomieszaniu nie usłyszałam, po czym oddalił się i stanął oparty o framugę drzwi. Chciałam prosić matkę, abyśmy opuściły bal, bo drżałam tak silnie, iż zdawało mi się, że nie będę mogła się utrzymać na nogach, na szczęście akord silny i świetny dał się słyszeć. Bal był przerwany. Liszt usiadł przy fortepianie.

Grał „Zaproszenie do tańca” Webera. Zdawało mi się, iż nigdy jeszcze wielki artysta nie wykonał tak cudownie tej melodii, a może też nigdy nie znajdowałam się w podobnym usposobieniu umysłu, aby zrozumieć melodię tę tak smętną i namiętną; zdawało mi się, że po raz pierwszy ją słyszałam. Błaganie, jęki i konanie cierpiącej duszy, które autor „Wolnego strzelca” w niej oddał, po raz pierwszy rozumiałam. Bardzo często sama grywałam tę świetną fantazję i dziś zadziwiona przysłuchiwałam się tym tonom, znajdując w nich coraz to nowe skarby. Czy odkrywał mi je talent artysty, czy też podniecone uczucie moje — nie wiem. W każdym razie skutek był czarodziejski; dźwięki płynęły w powietrzu i obwiewały mnie czarownym tchnieniem melodii; w tej chwili podniosłam oczy i ujrzałam wlepione we mnie oczy hrabiego; spuściłam nagle głowę, nie widziałam jego oczu, lecz czułam ciężące na mnie jego

wejrzenie, krew uderzyła mi do głowy i mimowolnie zadrżałam. Wkrótce Liszt powstał, słyszałam szmer dziękujących mu i miałam nadzieję, że w tym powszechnym pomieszczeniu hrabia opuści swe miejsce. W istocie, kiedy się ośmieliłam podnieść głowę, już go przy mnie nie było, odetchnęłam swobodniej, lękałam się jednak poszukać go oczyma, lękałam się jego wejrzenia, wołałam nie wiedzieć gdzie się znajduje.

Po chwili nowe nastąpiło milczenie, nowa osoba usiadła przy fortepianie; milczenie zaległo salony, widocznie ciekawość ogólna była podniecona. Ja nie śmiałam jeszcze podnieść oczu. Wspaniały pasaż, jak zgrzyt gorzkiej ironii, przebiegł po klawiszach, z wolna przeszedł w ton smętny i poważny, a dźwięczny drgający głos dał się słyszeć przy akompaniamencie melodii Szuberta.

„Zgłębiłem wszystko: filozofię, prawo, medycynę; badałem serca ludzkie: zeszedłem do wnętrza ziemi, duch mój na orlich skrzydłach unosił się w niebiosa — gdzie mnie to wszystko doprowadziło? Do zwątpienia i rozczarowania. Nie mam już wprawdzie ani złudzeń, ani sumienia, nie boję się Boga ani szatana, lecz okupiłem to radością życia...”

Po pierwszych słowach poznałam głos Horacego. Zrozumiesz łatwo, jakie szczególne wrażenie wywarły na mnie te słowa Fausta, w ustach tego, który je śpiewał. Wrażenie to zresztą było ogólne.

Nastąpiła chwila głębokiego milczenia, po ostatniej nucie, która uleciała w powietrze skarżąc się jak dusza cierpiąca, potem oklaski szalone posypały się ze wszystkich stron. Ośmieliłam się spojrzeć na hrabiego: dla wszystkich twarz jego wydawała się spokojna i nieporuszona jak zwykle; mnie jednak lekkie skrzywienie ust wskazywało takie samo wzruszenie nerwowe, jakiego byłam świadkiem w naszym salonie. Pani M. zbliżyła się, ażeby mu powinszować, wówczas twarz jego przybrała wyraz niedbale uśmiechnięty, wyraz, który umysły wyższe umieją zawsze przybrać wobec światowych wymagań; podał jej rękę i stał się znowu podobnym do innych, człowiekiem wychwalającym z całą

galanterią strój swojej towarzyski. Rozmawiając z nią rzucił na mnie wejrzenie i spotkał mój wzrok; byłam nim tak zaskoczona, iż za ledwie zdołałam powstrzymać się od okrzyku, widocznie zrozumiał uczucie moje i wyszedł z panią M. do innego salonu.

W tej chwili odezwała się przygrywka kadryla, pierwszy tancerz zapisany w mojej książeczce zbliżył się; podałam mu rękę bez myśli, bezmyślnie też tańczyłam jedne tańce po drugich. Po trochu odzyskałam przytomność. Nastąpiła przerwa w tańcach.

Pani M. zbliżyła się do mnie, prosząc bym zaśpiewała duet z Don Juana; w pierwszej chwili odmówiłam stanowczo, byłam pewna, że ani jednej nuty nie potrafię wydobyć; matka spostrzegła moje tłumaczenie się i z prawdziwie macierzyńską dumą zaczęła mnie namawiać; duet ten śpiewałam tak często, że trudno mi było znaleźć wymówkę; lękałam się zresztą, aby matka nie zaczęła się czegoś domyślać, ustąpiłam, zgodziłam się i w towarzystwie hrabiny M. przystąpiłam do fortepianu; stałam za stołkiem akompaniującej mi, z oczyma spuszczoneymi, nie śmiejąc spojrzeć, aby nie spotkać wejrzenia, które mnie wszędzie ścigało. Młody człowiek stanął po drugiej stronie fortepianu, ośmieliłam się podnieść oczy na mego towarzysza. Zimny dreszcz przebiegł po moim ciele; hrabia Horacy miał śpiewać rolę Don Juana.

Zrozumiesz, co się ze mną działo, było już jednak za późno, bym się cofnąć mogła, oczy wszystkich na mnie były zwrócone, pani M. zaczęła grać, hrabia rozpoczął śpiew; głos jego tym razem dźwięczał zupełnie inaczej, a gdy zaczął *lá ci darem la mano*, sądziłam, że się pomyliłam, nie mogłam uwierzyć, ażeby głos potężny, który nas zmuszał do drżenia w melodii Szuberta, mógł się tak nagiąć do dźwięków wesołych, lekkich i wdzięcznych. Po pierwszych zaraz tonach szmer pochwalny dał się słyszeć w całej sali. Gdy na mnie przyszła kolej i drząc zaśpiewałam *vorroi e non verroi, mi trema un poco il cor*, w głosie moim tyle było bojaźni, że powstrzymane oklaski posypały się ze wszystkich stron; a ile było miłości w głosie hrabiego, gdy śpiewał *vieni, mia ben diletto* i

ile obietnic ułudnych, gdy wołał *io cangiero tua sorte*, nie umiałabym ci opowiedzieć, wszystko to tak do mnie mogło być zastosowane, ten duet tak zdawał się być dobrany do stanu mego serca, że czułam się bliska omdlenia śpiewając już *presto non son piu forte*; w tym miejscu muzyka nagle się zmienia: skarga zalotnej Zerliny wybucha w okrzyk namiętnej boleści; w tej chwili uczułam, że hrabia zbliża się ku mnie i jego ręka dotyka mojej, w oczach mi się zaćmiło i uchwyciłam się krzesła pani M., tylko dzięki tej podporze mogłam utrzymać się na nogach; lecz kiedy głosy nasze się połączyły w *andiamo andiam mio bene* i uczułam jego oddech na moich włosach i ramionach, przebiegło mnie drzenie, w okrzyku, w którym się wyczerpały wszystkie me siły, rzuciłam słowo *amor* i zemdlałam.

Matka przybiegła ku mnie, lecz byłaby nadeszła za późno, gdyby pani M. już nie pochwyciła mnie w swe objęcia. Przypisano moje omdlenie zbyt niemu gorącu, przeniesiono do sali sąsiedniej, podano sole i otworzono okno, w końcu kilka kropel wody rzuconej mi w twarz przywróciło mi przytomność. Pani M. chciała, abym powróciła do sali balowej, lecz ani słuchać o tym nie chciałam, matka moja zaniepokojona o mnie pragnęła też wyjechać. Powóz zajechał i wróciliśmy do domu.

Oddaliłam się natychmiast do mego pokoju; zdejmując rękawiczkę puściłam papier, który mi wsunięto w czasie mego omdlenia, podniosłam go, przeczytałam te wyrazy skreślone ołówkiem:

Kochasz mnie!... dzięki ci... dzięki.

ROZDZIAŁ IX

Przepędziłam noc całą we łzach i łkaniach. Noc straszną! Nikt nie jest w stanie pojąć męczarni, jakich doznaje młode dziewczę, wychowane pod okiem matki, którego serce czyste jak kryształ, nie było jeszcze przyćmione żadnym zatrutym oddechem, którego usta nigdy jeszcze nie wymówiły słowa miłość, i

które naraz widzi się bez obrony, jak ptaszę pochwycone i ujęte przez rękę silną, i słyszy głos, który mówi: kochasz mnie — zanim jeszcze sama pojąć to zdołała.

Nie wiem, jakim cudem nie zwariowałam tej nocy; sądziłam, że jestem zgubiona. Powtarzałam po cichu bezustannie: kocham go! kocham!, a to z trwogą tak głęboką, że dziś jeszcze nie wiem, czy nie podlegałam wprost przeciwnemu uczuciu. Prawdopodobnie jednak wszystkie te wrażenia musiały być dowodami miłości, ponieważ hrabia, który je badał pilnie, tak je sobie wytłumaczył. Co do mnie, po raz pierwszy czułam coś podobnego. Mówiono mi, że zawsze winniśmy lękać się i nienawidzić tych tylko, którzy źle czynią; nie powinnam się więc była ani lękać, ani też nienawidzić hrabiego, jeżeli zatem uczucie, jakiego doświadczyłam nie było bojaźnią ani nienawiścią, musiało przeto chyba być miłością.

Nazajutrz, gdy siadałyśmy do śniadania, przyniesiono dwa bilety od hrabiego Horacego; przysyłał dowiedzieć się o moje zdrowie i zapytać, czy moje zemdlenie nie miało złych następstw? Postępek ten mojej matce wydawał się prostą grzecznością. Po raz pierwszy wtedy zwróciła uwagę na to, że jestem blada i zmęczona, zaniepokoiła się bardzo, lecz zapewniłam ją, że nie doświadczam żadnego cierpienia i że powietrze i spokój wsi przywrócą mi zdrowie; prosiłam też, abyśmy jak najprędzej mogły opuścić Paryż. Matka moja jedną tylko miała wolę, a tą była moja, kazała więc założyć konie do powozu i około drugiej wyjechałyśmy.

Uciekałam z Paryża z takim pośpiechem, z jakim przed czterema dniami uciekałam ze wsi, pierwszą moją myślą na widok biletu hrabiego było, że skoro nadejdzie godzina zwykła wizyt, on sam przyjedzie do nas. Chciałam tego uniknąć, nie widzieć go więcej; po mniemaniu jakie powziął o mnie, po bileciku jaki do mnie napisał, zdawało mi się, że umrę ze wstydu spotykając go znowu. Wszystkie te myśli wstrząsały mój umysł, skutkiem czego twarz moja pokrywała się na przemian to rumieńcem, to bladością; matka sądząc, iż w zamkniętym powozie brakuje mi powietrza, kazała służącemu spuścić okienko.

Był koniec października, najpiękniejsza pora roku. Jesień w moich oczach ma wiele podobieństwa do wiosny i ostatnie balsamiczne zapachy tej pory przypominają mi zawsze wonne powiewy wiosny. Powietrze, widok natury, szum lasu długi, smętny, nieskończony, zaczęły powoli mnie uspakajać, kiedy nagle na zakręcie drogi spostrzegłam przed nami jeźdźca, chociaż był jeszcze bardzo oddalony, pochwyciłam rękę mej matki, chciałam prosić, abyśmy powróciły do Paryża... Poznałam hrabiego... Powstrzymałam się jednak. Jakież dać powód tej zmianie? Byłaby to fantazja niewytłumaczona. Zebrałam więc moją całą odwagę.

Jeździec jechał stępą; wkrótce dogoniliśmy go. Jak powiedziałam — był to hrabia.

Zaledwie nas spostrzegł, przybliżył się. Zaczął rozmowę od przeproszenia nas, iż tak rano przysłał dowiedzieć się o moje zdrowie, lecz że miał zamiar tegoż dnia wyjechać na wieś do państwa de Lucienne, gdzie ma zabawić dni kilka, nie chciał więc opuścić Paryża, niepewny jak się miewam po wczorajszym wypadku i że, gdyby chwila była właściwsza po temu, byłby sam przybył. Wyjąkałam słów kilka; matka moja podziękowała, mówiąc, że i my także powracamy na wieś, aby tam już do końca jesieni pozostać.

— W takim razie, pozwolą panie towarzyszyć sobie — odpowiedział hrabia.

Matka skłoniła się z uśmiechem; znajdowała to rzeczą zupełnie naturalną, ponieważ dom nasz leżał po drodze do zamku państwa de Lucienne.

Hrabia podążył obok nas. Szybki ruch powozu, trudność znajdowania się ciągle przy drzwiczkach, pozwalała mu jedynie rzucić nam od czasu do czasu kilka słów. Przybywszy do zamku zeskoczył z konia, pomógł matce mej przy wysiadaniu i z kolei podał mnie rękę. Nie mogłam odmówić, wyciągnęłam ją drżącą. Uścisnął ją i wsunął mi bilet. Zanim mogłam wymówić słowo, zrobić jakiegokolwiek poruszenie, zwrócił się ku mojej matce z pożegnaniem, wsiadł na konia i skierowawszy go ku drodze do Lucienne, gdzie, jak mówił, był oczekiwany, znikł z naszych oczu.

Pozostałam nieporuszona na miejscu, w palcach zaciśniętych trzymając bilecik, który lękałam się upuścić, a jednakże postanawiałam sobie mocno, iż go czytać nie będę. Matka zawołała mnie; poszłam za nią. Co zrobić z tą karteczką? Nie było pod ręką ognia, aby ją spalić; z podartego kawałka mogły być jeszcze podniesione kawałki; ukryłam go więc na paskiem. Nie znałam dotąd męczarni większej nad tę, jakiej doświadczałam, aż do chwili, w której znalazłam się sama; list ten palił mi piersi, zdawało mi się, iż siła nadprzyrodzona zmuszała mnie do przeczytania go. W chwili, gdy go otrzymałam, chciałam go zniszczyć, spalić, lecz skoro weszłam do mego pokoju nie mogłam, nie miałam odwagi tego zrobić. Odesłałam służącą mówiąc, iż sama się rozbiore; potem usiadłam na łóżku i tak nieporuszona, z listem zgniecionym w dłoni, siedziałam długą godzinę.

Na koniec otworzyłam go i przeczytałam.

Kochasz mnie, Paulino, bo uciekasz przede mną. Wczoraj wyjechałaś z balu, gdzie byłem; dziś z miasta, w którym jestem. Wszystko na próżno. Są istoty, które mogą się nigdy nie spotkać, lecz jeżeli się spotkają, nie powinny się rozłączać.

Nie jestem człowiekiem jak inni: w wieku młodzieńczym cierpiałem wiele, marzyłem i złorzeczyłem. Mam lat dwadzieścia osiem. Jesteś pierwszą kobietą, którą pokochałem.

Dzięki ci! i jeżeli Bóg nie ziści tej ostatniej serca mojego nadziei, zapomnę o przeszłości, będę miał nadzieję w przyszłości. Przeszłość jest jedyną rzeczą, wobec której Bóg nawet i miłość jest bezsilna, przyszłość jest w rękach Boga; terażniejszość od nas zależy, przeszłość należy do nicości. Jeżeliby Bóg, który może wszystko, pozwolił zapewnić przyszłość, na świecie nie byłoby ani bluźnierców, ani materialistów, ani bezbożników.

Wszystko powiedziałem Paulino; bo cóż bym więcej mógł ci powiedzieć, czego byś nie wiedziała, nie domyślała się. Oboje jesteśmy młodzi, bogaci, wolni, możemy do siebie należeć. Powiedz jedno słowo, a udam się do twojej

matki i będziemy połączeni. Jeżeli moje postępowanie, tak jak moja dusza, nie nagina się do wymagań świata, przebac mi i przyjmij takiego jak jestem, a uczynisz mnie lepszym.

Gdyby zaś wbrew temu, czego się spodziewam, Paulino, powód jakiś nieznany skłaniał cię do uciekania przede mną, jak dotąd, wiedz, że to na próżno; wszędzie cię ścigać będę, jak ścigałem cię dotąd — nic mnie do jednego miejsca nie przywiązuje; przeciwnie, będę zawsze tam, gdzie ty jesteś, będzie to odtąd jedyny cel mego życia. Wiele lat straciłem, sto razy narażałem życie moje i duszę dla dopięcia celu, który nie dał mi ani cząstki szczęścia, które obecnie osiągnąć mam nadzieję.

Paulino! Paulino! Nie grożę ci, ale cię błagam; kocham cię, ty mnie kochasz. Ulituj się nade mną i nad sobą.

— Niepodobna mi opowiedzieć, co się ze mną działo po przeczytaniu tego szczególnego listu; zdawało mi się, że jestem we śnie straszliwym i, zagrożona niebezpieczeństwem, chcę uciekać, a stoję bezsilna, do ziemi przykuta, w piersiach tchu mi brakuje, chcę wołać pomocy, lecz głos mi zamiera w piersiach.

Nie był to jednak sen, ale rzeczywistość straszna, która uchwyciła mnie silną ręką i pociągnęła za sobą. Na drodze mojej stanął człowiek obcy, i zaledwie zamieniłam z nim wejrzenie i parę wyrazów, on chce mnie krępować, wiązać przeznaczenie moje ze swoim, przemawiać do mnie jak pan, wtedy gdy nie uzyskał ode mnie nawet przychylnego słowa. Mogłam nie zwracać na niego uwagi, nie mówić z nim, nie znać go nawet. Lecz, niestety, nie mogłam tego uczynić... bo byłam słaba... byłam kobietą... kochałam go.

Zresztą ja sama nie wiedziałam, czy uczucie, którego doświadczałam, było miłością? Czyż miłość wchodzi do serca poprzedzona bojaźnią, trwogą niemal? Dlaczegoż tego fatalnego listu nie spaliłam przed czytaniem? Czyż nie dałam hrabiemu prawa do wiary, że kocham go, przyjmując ten list tajemnie? Cóż

jednak mogłam zrobić w obecności służby? Niepodobna oddać go matce, powiedzieć jej wszystko, przyznać się... Lecz cóż... bojaźń dziecinna... Cóż by matka pomyślała, czytając list ten? Mogłaby sądzić, że słowem, gestem, wejrzeniem wreszcie ośmieliłam hrabiego; gdyż bez tego, jakimże prawem mógłby mi powiedzieć, że ja go kocham? Nie, nie ośmielę się nigdy wspomnieć o tym mojej matce.

Ach ten list! Przede wszystkim trzeba go spalić... Zbliżyłam go do świecy, spłonął w jednej chwili i jak wszystko, co istniało i istnieć przestało, wkrótce pozostała tylko z niego garstka popiołu. Potem rozebrałam się szybko i pospiesznie się położyłam. Zagasiłam światło, ażeby uciec przed sobą samą i ukryć się w ciemnościach nocy. Jakże też zamykałam oczy i zaciskałam je rękami! Daremne usiłowania! Wszystko widziałam. Słowa tego fatalnego listu wryte były na ścianach pokoju. Raz jeden go przeczytałam, a tak głęboko wrył się w moją pamięć, że każdy wiersz, skreślony niewidzialną ręką, zdawał mi się ukazywać, w miarę jak znikał poprzedni; tak więc czytałam i odczytywałam list ten dziesięć, dwadzieścia razy — noc całą! O! Zaręczam ci, że pomiędzy tym stanem a obłąkaniem był przedział bardzo niewielki, zasłona nader słaba do zniszczenia.

Zasnęłam dopiero nade dniem. Kiedy się obudziłam, było już późno, służąca moja powiedziała mi, że pani de Lucienne z córką przyjechały nas odwiedzić. Wówczas przyszła mi myśl nagła, aby wszystko powiedzieć pani de Lucienne. Ona tak zawsze dobra była dla mnie; u niej to po raz pierwszy widziałam hrabiego, był on przyjacielem jej syna; ona więc mogła być jedyną moją powiernicą. Sam Bóg mi ją przysłał!

W tej chwili drzwi się otworzyły i weszła pani de Lucienne.

Wówczas uwierzyłam w jej posłannictwo. Podniosłam się na łóżku i łkając, wyciągnęłam do niej rękę.

Usiadła przy mnie.

— Cóż to, moje dziecko? — przemówiła do mnie po chwili, odsłaniając moje

oczy, które zakrywałam rękami — Cóż ci to, przyznaj mi się.

— Jestem bardzo nieszczęśliwa! — zawołałam.

— Nieszczęścia twojego wieku, moje dziecię, są jak burze wiosenne — przechodzą szybko i czynią niebo jeszcze jaśniejszym.

— O! gdybyś pani wiedziała?...

— Wiem wszystko — odpowiedziała pani de Lucienne.

— Kto pani powiedział?

— On.

— Powiedział, że go kocham?

— Powiedział, że ma nadzieję. Czy się myli?

— Sama nie wiem. Dotąd nie znałam miłości, jak z imienia; czyż więc mogę czytać jasno w mym sercu i wśród niepokojów, jakich doświadczam. Nie rozumiem jeszcze uczucia, które je opanowało.

— No, no, widzę, że Horacy umie w nim czytać lepiej, niż ty sama.

Zaczęłam płakać.

— Ależ, drogie dziecię, nie widzę powodu do tych łez. Pomówmy rozsądnie. Hrabia Horacy jest młody, piękny, bogaty, więcej niż potrzeba na wytłumaczenie uczucia, jakim cię natchnął. Hrabia jest wolny, ty masz lat osiemnaście — byłby to związek stosowny pod każdym względem.

— Och, pani!

— Dobrze, nie mówmy o tym więcej. Dowiedziałam się, czego chciałam. Idę teraz do pani Meulien, przyślę ci Łucję.

— Ale, ani słowa — nieprawdaż?

— Bądź spokojna; wiem, co mi pozostaje do zrobienia. Do widzenia, drogie dziecię! No, obetrzyj swoje śliczne oczy i uściskaj mnie.

Rzuciłam się po raz drugi w jej objęcia. W pięć minut potem Łucja weszła do mego pokoju. Ubrałam się i zesłam.

Znalazłam moją matkę zamyśloną, lecz jeszcze czulszą dla mnie niż zwykle. Po kilka razy w czasie śniadania spoglądała na mnie z uczuciem smutnej

niespokojności, a za każdym razem krew uderzała mi do głowy. O czwartej pani de Lucienne odjechała; matka moja pozostała taka jak zawsze; ani słowa nie wyrzekła o wizycie pani de Lucienne. Wieczorem, zanim oddaliłam się do swego pokoju, przyszłam ją uściskać, a zbliżając me usta do jej czoła spostrzegłam łzy spływające po licach. Upadłam na kolana, ukrywając głowę na jej piersiach. Widząc to poruszenie matka moja domyśliła się uczucia, jakie mną kierowało, i pochylając swe ręce nad moim czołem, przycisnęła mnie do serca, wymawiając z rozczeniem:

— Bądź szczęśliwa, córko moja! To wszystko, o co usilnie błagam Boga!
Nazajutrz pani de Lucienne w imieniu hrabiego prosiła matkę o moją rękę.
W sześć tygodni potem byliśmy zaślubieni.

ROZDZIAŁ X

Ślub nasz odbył się w zamku Lucienne, w pierwszych dniach listopada; powróciliśmy więc do Paryża z początkiem pory zimowej.

Zamieszkaliśmy w naszym pałacu. Matka moja przeznaczyła mi intercyzę ślubną dwadzieścia pięć tysięcy liwrów pensji rocznej; hrabia oznajmił, iż posiada prawie tyleż. Dla matki pozostawało piętnaście tysięcy.

Dom nasz więc znalazł się w liczbie tych, które, jeżeli nie do najbogatszych, to przynajmniej do najwytworniejszych policzyć można było. Horacy przedstawił mi dwóch swoich przyjaciół i prosił, abym ich przyjęła jak braci; od sześciu lat połączeni byli z sobą węzłami takiej przyjaźni, że powszechnie nazywano ich nierozdzielni. Czwarty z nich, którego codziennie żalowali i o którym ciągle mówili, zabił się w roku zeszłym, w październiku polując w Pirenejach, gdzie miał zamek.

— Nie wymienię ci nazwisk tych dwóch młodych ludzi — dlaczego? — zrozumiesz to przy końcu mego opowiadania; że jednak będę musiała o nich mówić, nazwę jednego Henrykiem, a drugiego Maksem.

Nie powiem ci też, czy byłam szczęśliwa: uczucie, jakiego doświadczałam dla Horacego, było i będzie zawsze niewytłumaczone; był to, że tak powiem, szacunek połączony z bojaźnią; zresztą tego samego wrażenia doświadczali wszyscy, którzy się do niego zbliżali. Nawet dwaj jego przyjaciele rzadko kiedy się z nim sprzecjali, a zawsze ustępowali mu, jeżeli nie jak panu, to jak bratu starszemu. Chociaż zręczni w ćwiczeniach ciała, nie mieli jego siły.

Hrabia przemienił w zamku salę bilardową na salę fechtunku, a jedna z alei ogrodowych przeznaczona była na strzelanie do celu. Panowie ci ćwiczyli się tam codziennie w robieniu szpadą lub w strzelaniu z pistoletów. Często bywałam obecna przy tej zabawie. Horacy wówczas był więcej ich nauczycielem niż przeciwnikiem: zachowywał w tych ćwiczeniach spokój przerażający, którego byłam świadkiem u państwa de Lucienne, a kilka szczęśliwie odbytych pojedynków świadczyło o jego zimnej krwi, tak rzadkiej w chwilach najważniejszych — spokoju, który nie opuszczał go ani na chwilę.

Horacy więc, rzecz szczególna, pozostawał dla mnie, pomimo naszego związku, istotą wyższą ponad wszystkich ludzi.

Co do niego samego, zdawał się być szczęśliwy; przynajmniej tak utrzymywał, chociaż często czoło jego pokrywało się chmurami, które czego innego dowodziły. Często także sny straszliwe mieszały jego spoczynek. Wówczas to człowiek ten, tak spokojny i odważny w dzień, jeżeli się wśród nich przebudził, był przerażony i drżał jak dziecko. Przypisywał to wypadkowi, jaki się zdarzył jego matce, która będąc przy nadziei, zatrzymana została w Sierra przez bandytów i — przywiązana do drzewa, widziała, jak zamordowano jednego z jej znajomych, co razem z nią podróż odbywał. Sądził, że skutkiem tego, zawsze w czasie snu przedstawiały mu się sceny kradzieży i rozbojów. Toteż więcej, aby się zabezpieczyć od tych marzeń, niżeli przez rzeczywistą bojaźń, przed zaśnięciem kładł blisko łóżka nabity pistolet. Z początku przerażało mnie to; lękałam się, aby w napadzie lunatyzmu nie użył broni; ale powoli uspokoiłam się i przywykłam do tej ostrożności.

Drugą jeszcze rzeczą, szczególniejszą, którą dziś dopiero pojmuję, było to, iż bezustannie w dzień i w nocy miał zawsze osiodłanego i gotowego do drogi konia.

Zima przeszła wśród uczt i balów. Horacy miał wiele znajomości, ja także z mej strony; salony więc nasze zgromadzały bardzo liczne towarzystwo. Wszędzie towarzyszył mi zawsze chętnie, wszystkich głównie zastanawiało to, że zupełnie zaprzestał grać w karty.

Z nadejściem wiosny wyjechaliśmy na wieś.

Tam odnaleźliśmy nasze wspomnienia. Dnie upływały szybko bądź w domu, bądź też u naszych sąsiadów; bywaliśmy często u państwa de Lucienne, których zawsze uważaliśmy jakby za rodzinę. Chociaż więc moje położenie, jako młodej dziewczyny, zmieniło się, życie jednak nie ulegało żadnej zmianie. Jeżeli taki stan nie był szczęściem, to tak był doń podobny, że można było za takowe go uważać. Jedna tylko rzecz chwilami mnie niepokoiła: były to smutki bez powodu, w których widziałam Horacego coraz częściej pogrążonego — sny, coraz straszniejsze, powtarzały się. Często wśród niespokojności dziennych usiłowałam go rozerwać lub wśród nocnych snów obudzić; lecz jak tylko zobaczył mnie przy sobie, przybierał natychmiast ten pozór zimny i spokojny, który mnie tak zadziwiał w pierwszej chwili poznania. Omylić się jednak było trudno: jakże daleko było od tej udanej spokojności... do prawdziwego szczęścia...

Około czerwca Henryk i Maksym, ci dwaj młodzi ludzie, o których ci wspominałam, przybyli nas odwiedzić.

Znałam ich przyjaźń dla Horacego, matka więc moja przyjęła ich jak synów, ja — jak braci. Umieściliśmy ich w sąsiednich pokojach; hrabia zaprowadził dzwonki z odmiennym dźwiękiem, pokój hrabiego łączył się z ich pokojami, i rozkazał, ażeby w stajni zawsze miano osiodłane trzy konie — zamiast jednego. Moja służąca powiedziała mi prócz tego, iż dowiedziała się, że ci panowie mieli ten sam zwyczaj, co mój mąż: że nie sypiali, nie mając w głowach łóżka

przygotowanych nabitych pistoletów.

Od czasu przybycia przyjaciół Horacy nimi tylko był zajęty. Zabawy ich zresztą ograniczały się do tych samych wycieczek konnych lub ćwiczeń w fechtowaniu i strzelaniu do celu. Tak upłynął lipiec.

W połowie sierpnia hrabia oznajmił mi, że za kilka dni zmuszony jest wyjechać na dwa lub trzy miesiące. Było to pierwsze rozłączenie od czasu naszego małżeństwa. Hrabia starał się mnie uspokoić, mówiąc, że tę podróż, którą sądziłam daleką, przedsiębrał do prowincji najbliższej Paryża, do Normandii, gdzie posiadał swój zamek. Każdy z trzech przyjaciół posiadał dom miejski, jeden w Wandei, drugi w Tulonie i Nicei — ten, który został zabity, miał zamek w Pirenejach, a hrabia Horacy w Normandii. Każdego więc roku podczas polowania kolejno u siebie przebywali. Teraz hrabia miał przyjmować swoich przyjaciół w zamku Burcy. Chciałam jechać z mężem, lecz odpowiedział mi, iż zamek źle jest utrzymany, prawie nie umeblowany i dobry tylko dla myśliwych, przyzwyczajonych do niewygód; obiecywał też, że zarządzi potrzebne reperacje, ażeby w roku następnym mogła tam z wszelką swobodą czynić honory domu.

Matka moja pochwaliła ten zamiar, lecz ja byłam bardzo niespokojna. Nie chcąc jej martwić, nie wspominałam dotąd o stanie mojego męża, jego smutku, niepokoju; bo chociaż chciał je przede mną wytłumaczyć, mimo woli nie dowierzałam mu i przypisywałam jakiemuś tajemnemu powodowi, którego nie chce lub nie może wyznać. Jednakże byłoby to śmiesznością z mej strony, gdybym się martwiła trzymiesięcznym rozłączeniem; zataiwszy więc moją niespokojność, nie wspomniałam już o podróży.

Na koniec dzień wyjazdu nadszedł. Było to 27 września. Panowie ci chcieli być w Burcy na otwarcie polowania 1 października. Pojechali pocztą, a konie powierzono opiece Malajczyka, miały być doprowadzone do zamku.

W chwili odjazdu nie mogłam powstrzymać łez. Uprowadziłam Horacego do oddzielnego pokoju i raz jeszcze błagałam, ażeby mnie wziął ze sobą.

Powiedziałam mu o swoich trwogach tajemnych; przypominałam mu o jego smutkach, niewytłumaczonej bojaźni opanowującej go nagle, bez powodu.

Na te słowa krew uderzyła mu do twarzy i po raz pierwszy okazał zniecierpliwienie. Powstrzymał je jednak natychmiast i przemówił do mnie z największą łagodnością, obiecując, że jeżeli tylko zamek będzie mógł być zamieszkały, o czym jednakże wątpił, napisze, abym do niego przybyła. Uczepiłam się tej nadziei i obietnicy, i patrzyłam na odjeżdżającego spokojniej, niżeli się spodziewałam.

Pierwsze dni naszego rozłączenia były okropne, a jednakże przysięgam ci, nie była to boleść miłości; było to jakby przeczucie nieokreślone, ale pewne... wielkiego nieszczęścia! Na drugi dzień po wyjeździe Horacego odebrałam od niego list datowany z Caen; zatrzymał się w tym mieście na obiad i chciał do mnie napisać, widząc w jakim stanie niespokojności pozostawił mnie w domu. Po odebraniu tego listu i odczytaniu go do końca, nowa trwoga opanowała me serce i odnowiła wszystkie obawy, tym straszniejsze, że dla mnie jednej były one oczywistymi, gdy innym mogły się zdawać urojone.

Zamiast zakończyć list wyrazem „do widzenia”, napisał „żegnam cię...”. Umysł niespokojny trwoży się najmniejszą rzeczą. Byłam bliska omdlenia czytając to pożegnanie.

Drugi list od hrabiego odebrałam z Burcy; donosił, iż znalazł zamek w stanie takiego zniszczenia, iż zaledwie ma jeden pokój, do którego deszcz i wiatr nie dochodzi; że zatem niepodobieństwem jest, ażebym w tym roku mogła przybyć do niego. Nie wiem dlaczego, ale byłam pewna otrzymania tej wiadomości; mniej mnie więc dotknęło aniżeli list poprzedzający.

W kilka dni później przeczytałyśmy w gazetach pierwsze wiadomości o morderstwach i kradzieżach, napęlniających grozą całą Normandię.

Trzeci list Horacego potwierdził te wieści, ale zdawało się, iż niewiele do nich przywiązuje wiary. Odpisałam, błagając go, aby natychmiast powrócił, wieści te zdawały mi się już początkiem ziścić się mających przeczuć moich

złowrogich.

Wkrótce wiadomości coraz bardziej stawały się przerażające. Wówczas zaczęłam doznawać nieokreślonych smutków, przerażających snów. Nie śmiałam pisać do Horacego, mój list do niego ostatni pozostał bez odpowiedzi. Pojechałam do pani de Lucienne, która od owego dnia wyznania mego stała się moją powiernicą. Opowiedziałam jej swoją trwozę i złowróżbne przeczucia. Uspokoila mnie, jak mogła, zapewniając jak zwykle zapewniała mnie matka, że jedynie zły stan zamku w Burcy nie dozwolił Horacemu przystać na moje prośby i że ona lepiej wie niż ktokolwiek, jak on mnie kocha i jak często jej dziękował za szczęście, które jej był winien.

To jej przekonanie skłoniło mnie do postanowienia, iż jeżeli następną pocztą nie odbiorę od męża wiadomości, że powraca, sama do niego pojedę.

List otrzymałam; lecz zamiast mówić o powrocie donosił, że jeszcze sześć tygodni, a może dwa miesiące zmuszony będzie bawić z dala ode mnie. List jego pełen był zapewnień miłości. Pisał, że tylko słowo dane przyjacielom powstrzymało go od powrotu i gdyby nie pewność, że mi bardzo źle by było w tych ruinach, to by sam błagał, bym przyjechała. Gdybym się wahała, to list ten byłby za mnie zdecydował. Udałam się więc do matki i powiedziałam, że Horacy prosi, abym do niego przyjechała. Matka chciała koniecznie mi towarzyszyć i z wielką trudnością dała sobie wyperswadować, że jeżeli mąż mój lękał się dla mnie niewygody, to tym więcej lękałby się jej dla niej.

Pojechałam pocztą. Wzięłam z sobą pannę służącą, rodem z Normandii. Przybywszy do Saint Laurent du Mont, prosiła mnie o pozwolenie, aby na kilka dni mogła pozostać u swej rodziny. Zezwoliłam, zapominając, iż przybywszy do zamku zamieszkałego przez samych tylko mężczyzn, będę potrzebowała jej usług, chciałam dowieść przy tym Horacemu, iż mylił się, wątpiąc o moim stoicyzmie.

Przybyłam do Caen około siódmej wieczorem, naczelnik poczty dowiedziawszy się, iż kobieta, podróżująca sama, żąda koni do zamku Burcy,

przyszedł do drzwiczek powozu i tak usilnie prosił i nalegał, ażebym noc przepędziła w mieście, że przystałam. Zresztą byłabym przybyła do zamku o tak późnej godzinie, iż zapewne wszyscy byliby uśpieni, a brama tak dobrze zamknięta, i niepodobna by ją otworzyć; z powodu bowiem groźnych wypadków, jakie się działy w okolicy, musiano mieć się na baczności. Ten powód, więcej niż trwoga, skłoniły mnie do pozostania w hotelu.

Wieczory zaczynały być zimne. Weszłam do salonu naczelnika poczty, czekając, aby mi pokój przygotowano. Wówczas gospodyni, aby przekonać mnie, że dobrze zrobiłam, zatrzymując się w mieście, opowiedziała mi o wszystkim, co się działo od trzech tygodni w okolicach miasta. Trwoga była ogólna; nikt nie śmiał wyjechać z miasta po zachodzie słońca.

Przepędziłam noc niespokojnie; im bliżej byłam zamku, tym więcej traciłam pewności siebie; hrabia miał może swoje powody, dla których chciał się oddalić ode mnie. Moje nagłe, nieoczekiwane przybycie, było nieposłuszeństwem jego rozkazom; ten gest niecierpliwości, jakiego przy pożegnaniu nie mógł powstrzymać, jedyny, jaki względem mnie okazał, czyż nie był dowodem niewzruszoności jego zmysłów? Przez chwilę miałam ochotę napisać do niego, że jestem w Caen i czekać, aż po mnie przyjedzie; ale cała ta bojaźń, powstała skutkiem gorączki nocnej, zniknęła po kilkugodzinnym spoczynku i kiedy dzień oświecił mi pokój, poprosiłam o konie i w dziesięć minut potem odjechałam.

O dziewiątej rano, o dwie mile od Buisson, pocztylion się zatrzymał i pokazał mi zamek Burcy, którego park było widać o jakieś dwieście kroków oddalony od drogi. Droga boczna prowadziła do kraty. Zapytał mnie, czy to do tego zamku jadę. Odpowiedziałam, że tak — i pojechaliśmy dalej. Znaleźliśmy bramę zamkniętą i pomimo silnego stukania, nikt się nie pokazywał. Zaczęłam żałować, że nie dałam znać hrabiemu o moim przybyciu. Mógł być ze swymi przyjaciółmi na polowaniu; w takim razie, cóż będę robiła w tym samotnym zamku.

Czyż mam w jakiejś nędznej karczmie wiejskiej oczekiwać jego powrotu?

Zniecierpliwiona, wysiadłam z powozu i silnie zadzwoniłam. Wówczas ukazała się spomiędzy drzew jakaś postać. Poznałam Malajczyka. Dałam mu znak, aby się pospieszył i otworzył bramę.

Nie chciałam już wsiąść do powozu. Pobiegłam aleją i wkrótce ujrzałam zamek, który na pierwszy rzut oka nie zdawał mi się być zniszczonym. Weszłam na schody, prowadzące do przedpokoju i usłyszałam głosy. Otworzyłam drzwi i — znalazłam się w sali jadalnej, na wprost Horacego, który jadł śniadanie razem z Henrykiem. Przy każdym, na stole, leżały pistolety.

Hrabia na mój widok powstał nagle i zbladł tak straszliwie, iż sądziłam, że zemdleje. Co do mnie, drżałam również tak mocno, że nie mogłam kroku postąpić; byłabym upadła, lecz nadbiegł i zatrzymał mnie.

— Przebacz mi — zawołałam — tak byłam niespokojna, tak nieszczęśliwa z dala od ciebie, że stałam się nieposłuszna.

— I źle zrobiłaś — odpowiedział hrabia głuchym głosem.

— O! Jeżeli chcesz — zawołałam przerażona — odjadę natychmiast... Zobaczyłam cię... Tego tylko żądałam...

— Nie — odpowiedział hrabia — nie; kiedy już jesteś... pozostań. Witam cię z radością.

Uściskał mnie i, zapanowawszy nad swoim wzruszeniem, przybrał znowu ten sam pozór spokoju, który mnie zawsze bardziej przerażał, niż gdy go widziałam najwięcej rozgniewanym.

ROZDZIAŁ XI

Wkrótce jednak ta lodowata maska, jaką hrabia przybrał, znikła, i poprowadził mnie do pokoju, który mi przeznaczył. Był to pokój umeblowany w guście Ludwika XV.

— Tak, poznałem go — przerwałem. — To ten, gdzie byłem wprowadzony. Mój Boże, mój Boże!... Wszystko teraz rozumiem.

— Tam — mówiła dalej Paulina — zaczął mnie przepraszać za takie przyjęcie i tłumaczył się zdziwieniem z mego niespodziewanego przyjazdu oraz obawą niewygód, jakie mnie tu czekają.

Wszystko to go niepokoiło. Dodał jednak, że skoro już przyjechałam — do dobrze, będzie się starał uprzyjemnić mi pobyt w tej swojej posiadłości; na nieszczęście jednak dziś, a może jutro, będzie musiał mnie opuścić; wprowadzie na jeden lub dwa dni tylko. Będzie to już po raz ostatni, bo nie przystanie więcej na żadne polowanie.

Odpowiedziałam, że jest zupełnie wolny, że nie przybyłam, aby mu przeszkadzać w jego przyjemnościach, lecz ażeby uspokoić swoje serce, przerażone opisami ciągłych zbrodni w tych okolicach.

Hrabia się uśmiechnął.

Byłam znużona podróżą; położyłam się więc i zasnęłam.

O drugiej Horacy wszedł do mego pokoju i zapytał, czy nie chciałabym odbyć przejażdżki nad morze. Dzień był przepyszny; zezwoliłam.

Zeszliśmy do parku. Rzeka Orna go przerzyna. Przy jednym z tych brzegów stała prześliczna łódka; kształt jej był szczególny. Zapytałam o przyczynę; hrabia odpowiedział, że była odbudowana na wzór łódek jawańskich i że ten rodzaj budowy przyczyniał się do szybkiego jej biegu. Usiedliśmy z Horacym i Henrykiem; Malajczyk zaczął sterować i popłynęliśmy szybko z biegiem wody. Wpływając do morza, Horacy i Henryk rozwinięli trójkolorowy żagiel, który był przywiązany do masztu, i bez pomocy wiosła płynęliśmy z nadzwyczajną szybkością.

Po raz to pierwszy płynęłam po oceanie. Wspaniały widok tak mnie zajął, że nie zwróciłam uwagi, że dopływamy do małej łódki, dającej nam jakieś znaki. Ocucił mię z marzeń głos Horacego, który zawołał do człowieka kierującego łódką:

— Hola! — Ho! Panie marynarzu! A co nowego słyhać w Hawrze?

— Na honor! Nic nowego. A w Burcy? — odpowiedział głos, który zdawał

się być mi znany.

— Przybył nam towarzysz niespodziewany: dawna twoja znajoma, hrabina de Beuzeval, moja żona.

— Jak to? Hrabina de Beuzeval? — zapytał Maks, którego dopiero wówczas poznałam.

— Ona sama, a jeżeli wątpisz, kochany przyjacielu, to przyjdź ją powitać.

Łódka się zbliżyła. Znajdował się w niej Maks z dwoma majtkami; ubrany był w elegancki ubiór marynarski, a na ramieniu miał zawieszoną sieć, którą zamierzał zanurzyć w morzu.

Zbliżywszy się do nas i zamieniwszy kilka słów powitania, Maks zarzucił swoją sieć, wszedł na chwilę do naszej łódki, porozmawiał po cichu z Henrykiem, uklonił się i powrócił do swojej łódki.

— Szczęśliwego połowu! — zawołał Horacy.

— Szczęśliwej drogi! — odpowiedział Maks i łódki się rozłączyły.

Nadchodziła godzina obiadu. Powróciliśmy do ujścia rzeki, lecz że to był odpływ morza, woda więc była za mała, abyśmy dopłynąć mogli aż do parku; musieliśmy wysiąść na piasek i powracać pagórkiem.

Wracałam więc tą samą drogą, jaką przechodziłeś w cztery noce później, naprzód po drobnych kamyczkach, potem po grubej trawie; na koniec weszłam na pagórek, potem do opactwa; widziałam klasztor, jego mały cmentarzyk, a idąc korytarzami znaleźliśmy się wreszcie w pałacowym parku.

Wieczór przeszedł spokojnie. Horacy był bardzo wesoły i mówił, iż ma zamiar na przyszłą zimę odnowić i upiększyć nasz pałac w Paryżu; na wiosnę zaś pragnąłby wyjechać razem z nami do Włoch, a może nawet kupić w Wenecji jeden ze starych marmurowych pałaców i tam przepędzić karnawał.

Henryk nie był wesoły, zdawał się być zamyślony i niespokojny przy najmniejszym szeleście. Te wszystkie małe szczegóły, na które wówczas nie zwracałam uwagi, później dopiero przedstawiły się mojej wyobraźni z ich wszystkimi przyczynami, dotąd dla mnie tajemniczymi.

Odchodząc, pozostawiliśmy Henryka w salonie, gdzie, jak nam mówił, miał pisać pilny list. Przyniesiono mu pióro i atrament, i zasiadł przy kominku.

Nazajutrz rano, kiedy siedzieliśmy przy śniadaniu, usłyszeliśmy dzwonek szczególniejszego dźwięku.

— Maks! — zawołali jednocześnie Horacy i Henryk; rzeczywiście na podwórzu ukazał się Maks na spienionym rumaku.

— Ach!... Otóż jesteś! — zawołał, śmiejąc się, Horacy — Cieszę się, że cię widzę; ale na drugi raz oszczędzaj trochę moje konie; patrz no, w jakim stanie jest biedny mój Pluton.

— Lękałem się przybyć za późno — odpowiedział Maks, a potem, przerywając rozmowę, zwrócił się ku mnie. — Niech mi pani przebaczy — zawołał — iż tak w butach i ostrogach stoję w jej obecności, ale lękałem się, aby Horacy nie zapomniał, że na dziś mamy umówione polowanie z Anglikami.

Ostatni wyraz wymówił dobitniej.

— Właśnie doniesiono mi, iż przybyli wczoraj wieczór statkiem parowym. Musimy się więc pospieszyć, ażeby dotrzymać słowa.

— Bardzo dobrze — odpowiedział Horacy — będziemy gotowi.

— Jednakże — mówił dalej Maks, zwracając się ku mnie — nie wiem, czy będziemy mogli dotrzymać naszej obietnicy; to polowanie byłoby bardzo nużące dla pani.

— O! Bądź pan spokojny — odparłam z pośpiechem — nie przybyłam tutaj z zamiarem przerywania waszych przyjemności; jedźcie, a w czasie waszej nieobecności, będę pilnować fortecy.

— A widzisz — dodał Horacy — Paulina jest prawdziwą kasztelanką z ubiegłych czasów, brak jej tylko paziów i dam honorowych; nie ma nawet panny służącej, bo pozostawiła ją w drodze i dopiero spodziewa się jej za dni osiem.

— Zresztą — dodał Henryk — jeżeli Horacy chce pozostać w zamku, to go wytłumaczymy przed naszymi wyspiarzami; nic łatwiejszego.

— O nie! — zawołał żywo hrabia — Nie zapominajcie, że to ja głównie zrobiłem zakład i powinienem go osobiście dotrzymać. Paulina mi pozwoli.

— Ależ jak najchętniej, i żeby ci jak najprędzej powrócić wolność działania, udaję się do swego pokoju.

— Za chwilę przyjdę do ciebie — odpowiedział mi na to i, odprowadzając do drzwi pokoju, ucałował mą dłoń.

Powróciłam więc do pokoju. W kilka minut potem wszedł Horacy; był już w ubraniu myśliwskim i przychodził mnie pożegnać. Zeszłam z nim razem do przedsiionka. Tam znowu Henryk i Maks nalegali koniecznie na Horacego, aby pozostał ze mną; ale oparłam się temu stanowczo i odjechali na koniec, obiecując być z powrotem dnia następnego.

Pozostałam sama w zamku z Malajczykiem. To szczególne towarzystwo byłoby przestraszało każdą inną kobietę; ja jednak wiedziałam o jego przywiązaniu do Horacego. Od dnia, w którym go widział ze sztyletem w ręku, idącego na tygrysicę, został podbity tą cudowną siłą; i żywił dla niego ten rodzaj szacunku, jaki pierwotne natury mają dla odwagi. Towarzyszył mu z Bombaju do Francji i nie opuścił dotąd ani na chwilę. Byłabym więc zupełnie spokojna, gdybym za jedyną obawę miała jego dziką minę i ubiór szczególny; lecz znajdowałam się w kraju, który od pewnego czasu stał się teatrem wydarzeń groźnych a niezwykłych i, chociaż nie słyszałam ani od Horacego, ani od Henryka potwierdzenia owych wydarzeń, którymi, jako mężczyźni, pogardzali, lub dla których pogardę udawali — to jednakże okropne i krwawe historie przyszły mi dopiero na myśl, skoro pozostałam sama; że jednak nie miałam się czego lękać wśród dnia, zeszłam do parku i postanowiłam zwiedzić okolice zamku, który miałam przez dwa miesiące zamieszkiwać.

Zwróciłam swe kroki naprzód ku tej części parku, przez którą poprzedniego dnia przechodziłam. Zwiedziłam na nowo ruiny opactwa, które znasz i których nie potrzebuję ci opisywać. Wyszłam przez powalony portyk i weszłam na pagórek, dominujący ponad morzem.

Po raz drugi wpatrzyłam się w tę przestrzeń niezmierną. Nic nie utraciła ze swej siły.

Pozostałam tak nieruchoma przez dwie długie godziny, z oczami wlepionymi w morskie bałwany. Odchodziłam z żalem; ale chciałam poznać inne części parku. Zeszłam ku rzece; potem, idąc czas jakiś jej brzegiem, znalazłam przywiązaną do brzegu łódkę, na której wczoraj pływaliśmy, a która przygotowana była w ten sposób, iż w każdej chwili można ją było użyć. Przypomniało mi to, nie wiem sama dlaczego, owego konia zawsze osiodłanego, w stajni... Ta myśl przypomniała mi fakt inny: tę nieufność i niepokój wieczny, które opanowały Horacego, a które podzielali jego przyjaciele — tę wreszcie broń nabitą i leżącą zawsze przy ich łózkach, a którą zastałam na stole w chwili mego przyjazdu. Pogardzając niby niebezpieczeństwem, czemuż uzbrajali się przeciw niemu? Jeżeli — podług nich samych — we dwóch nie mogli zjeść śniadania bez nabitej broni, to dlaczegoż pozostawiali w zamku mnie samą, mnie, nie mającą żadnej obrony?...

Wszystko to zdawało mi się być niezrozumiałe; chociaż jednak starałam się usunąć z mej pamięci te ciągle nieszczęsne myśli — wracały mi przecież do mózgu bezustannie!

Tak myśląc i postępując dalej — wkrótce znalazłam się w leśnej gęstwinie. Tam, wśród prawdziwego lasu dębów, ujrzałam ukryty i szczelnie zamknięty pawilon. Obeszłam go wokoło, ale drzwi i okiennice były tak zręcznie pozamykane, że pomimo ciekawości nie mogłam nic zgoła dojrzeć. Obiecałam sobie, że za powrotem Horacego zwiedzimy to miejsce i, że jeżeli na to zezwoli, z tego pawilonu urządzę sobie gabinet do pracy; położenie jego bowiem zdawało mi się być doskonale zastosowane do tego przeznaczenia.

Powróciłam do zamku. Po zwiedzeniu parku chciałam poznać zamek; pokój, który zajmowałam, łączył się z jednej strony z salonem, z drugiej z biblioteką; korytarz dzielił pokoje na dwie części. Moje pomieszczenie było jednym z dwunastu małych, nie połączonych ze sobą mieszkań, składających się z

przedpokoju i gabinetu; wszystko w bardzo dobrym stanie, pomimo tego, co mi mówił i pisał Horacy.

Ponieważ uważałam bibliotekę za antidotum przeciw nudom i samotności, w jakiej pozostawałam, myślałam przejrzeć znajdujące się w niej dzieła. Były to po większej części romanse z XVIII wieku, które okazywały, że przodkowie hrabiego kochali się w dziełach Woltera, Crébillona syna i Marivaux. Kilka dzieł nowych, kupionych zapewne przez terażniejszego właściciela, wmieszało się wprawdzie do tego zbioru, lecz były to traktaty o chemii lub też dzieła historyczne i podróżnicze; pomiędzy ostatnimi było piękne wydanie angielskie Daniela o Indiach. Umyśliłam przeczytać je w nocy, będąc pewna, iż spać nie będę mogła. Wyjęłam więc jeden tom i zaniiosłam do swego pokoju.

W pięć minut potem Malajczyk dał mi znać na migi, że obiad już przygotowany. Udałam się do sali jadalnej. Nie mogę ci opowiedzieć, jakiego wrażenia smutku i obawy doznałam na widok tej olbrzymiej sali, w której miałam zasiąść sama. Na stole stały dwie świece zapalone, z których światło do głębi pokoju nie dochodziło; natomiast cień z nich padający nadawał dziwaczne kształty przedmiotom, znajdującym się w owej głębi.

Przykre to uczucie powiększyło się jeszcze z powodu obecności Malajczyka o śniadej cerze. Nie mogłam porozumieć się z nim inaczej jak na migi. Doskonale jednakże rozumiał każdy mój rozkaz i wypełniał go szybko i zręcznie; nadawało to temu szczególnemu posiłkowi cechę iście fantastyczną. Po kilkakroć chciałam do niego przemówić, chociaż wiedziałam, że mnie nie zrozumie; lecz jak dziecko, lękając się krzyczeć w ciemności, tak i ja bałam się własnego głosu. Kiedy mi podał wety, dałam znak, aby poszedł rozłożyć ogień w moim pokoju. Płomień kominkowy — to jedyny niekiedy towarzysz dla tych, którzy nie mają innego; zresztą, chciałam się położyć o ile możności jak najprędzej, bo uczuwałam jakąś bojaźń, o której we dnie nie myślałam, a która opanowała mnie z nadejściem ciemności. Kiedy zwłaszcza znalazłam się sama w tej ogromnej sali jadalnej — mój strach powiększył się; zdawało mi się, iż

białe firanki u okien poruszają się i nabierają podobieństwa do śmiertelnych całunów.

Nie umarłych jednak obawiałam się; opaci i mnisi, po których grobach stapałam z rana, spoczywali snem błogosławionych — jedni na cmentarzach, inni w podziemiach; nie ich więc lękałam się, ale tego wszystkiego, o czym czytałam w gazetach, o czym opowiadano mi w Hawrze. Wszystko to przypominało mi się teraz i drżałam na najmniejszy szelest. Nic jednak innego nie słyszałam jak tylko drzenie liści, daleki szum morza i ten monotony a melancholijny świst wiatru, który się rozbija o mury gmachu, tłucze się po kominach jak gromady ptaków nocnych. Siedziałam tak nieporuszona przez blisko dziesięć minut, nie śmiejąc patrzeć ani na prawo, ani na lewo. Nagle usłyszałam obok siebie lekki szelest. Obróciłam się i — ujrzałam Malajczyka. Złożył ręce na piersiach i skłonił się; był to jego sposób okazywania, że rozkazy mu dane wypełnił. Powstałam; wziął świecę i szedł przede mną. Mój pokój sypialny już był doskonale uporządkowany przez tę szczególną pannę służącą. Postawił światło na stole i pozostawił mnie samą.

Moje życzenia były spełnione: ogromny ogień palił się na wielkim kominie z białego marmuru, podtrzymywanym przez złote amorki. Światło oblewało cały pokój i nadawało mu pozór wesoły, który dziwnie uspakajał mój wewnętrzny niepokój i bojaźń. Pokój ten wybity był karmazynowym adamaszkiem w kwiaty i ozdobiony u sufitu tysiącem arabesek i gzymsów, jedne były dziwaczniejsze od drugich. Przedstawiały taniec faunów i satyrów, którzy spod masek śmiali się złotym od ogniska śmiechem.

Nie byłam jeszcze na tyle uspokojona, bym się spać położyć mogła; zresztą była dopiero ósma godzina. Zarzuciłam tylko peniuar na suknię, a że wiedziałam, iż czas jest pogodny, chciałam otworzyć okno, aby widokiem uśpionej natury uspokoić wzburzoną moją wyobraźnię. Snać przez ostrożność, którą przypisywałam wieściom o morderstwach, dokonywanych w okolicy, znalazłam okna zamknięte na okiennice. Powróciłam na swoje miejsce przy

stole, w bliskości kominka chcąc rozpocząć czytanie podróży po Indiach. Otwierając książkę spostrzegłam, że się pomyliłam, biorąc tom drugi zamiast pierwszego. Wzięłam świecę, chcąc iść do biblioteki. We drzwiach na nowo bojaźń mnie ogarnęła. Zawahałam się przez chwilę; potem, wyrzucając sobie tę dziecinną lękliwość, śmiało otworzyłam drzwi i zbliżyłam się do półki, na której leżało całe dzieło.

Zbliżyłam światło do innych tomów, ażeby widzieć ich numery, gdy wzrok mój napotkał, w miejscu wyjątego tomu, guzik mosiężny, podobny do tych, jakie zwykle umieszczają w zamkach. Guzik ów, ukryty w murze, zasłonięty był książkami. Widywałam często drzwi tajemne w bibliotekach, ukryte poza imitacjami książek; nic więc naturalniejszego, że i tu podobne drzwi się znajdowały.

Położenie jednak miejsca, w którym guzik był umieszczony, czyniło znajdowanie się drzwi w tym miejscu niemożliwym. Okna biblioteki były ostatnimi w budynku; guzik zaś był przybity do futryny drugiego okna; drzwi więc, tu umieszczone, musiałyby się otwierać na zewnątrz.

Cofnęłam się, chcąc się lepiej przypatrzeć i — przy pomocy światła zaczęłam szukać jakiegoś znaku wskazującego otwór, lecz na próżno; nie dostrzegłam nic. Przyciskałam guzik, obracałam go i posuwałam. Na koniec uczułam, że się porusza. Posunęłam silniej i gdy drzwi otworzyły się z łoskotem, ujrzałam małe, kręcone schodki, zrobione w głębi muru.

Przez chwilę miałam ochotę zejść nimi; zstąpiłam po dwóch, lecz brakło mi odwagi. Cofnęłam się więc do biblioteki i zatrzasnęłam drzwi na powrót. Tak szczelnie się zamknęły, że niepodobna było znaleźć najmniejszej szparki. Położyłam natychmiast wszystkie tomy na miejscu, lękając się, aby nie spostrzeżono, że ich dotykała, bo domyślałam się, że komuś zależy na tajemnicy. Wzięłam pierwszą lepszą książkę, powróciłam do swego pokoju, zamknęłam drzwi na zasuwkę i usiadłam przy ogniu.

Wypadki niespodziewane nabierają lub tracą na ważności, stosownie do

usposobienia naszego umysłu albo do okoliczności krytycznych, w jakich się znajdujemy. Zdawałoby się, że nie ma nic naturalniejszego, jak drzwi ukryte w bibliotece i schodki kręcone w głębokości muru; lecz jeżeli odkrywamy te drzwi i te schody wśród nocy, w samotnym zamku, gdzie jesteśmy sami, bez obrony; jeżeli ten zamek znajduje się w okolicy, o której codziennie mówią, że jest on teatrem łupieży i morderstw; jeżeli złowrogie przeczucia ścigają cię i przejmują dreszczem bezprzestannie: każda rzecz przedstawia ci się wówczas nie jako rzeczywistość, lecz jako upiór lub widmo. Każdy wie z doświadczenia, że nieznanie niebezpieczeństwo jest po tysiąc razy więcej przerażające i straszniejsze, niż widoczna i nieuchronna zguba!

Znajdując się w takim właśnie położeniu zaczęłam żałować, iż tak nierozważnie dozwoliłam mojej panie służącej pozostać u rodziny. Trwoga jest rzeczą tak nieumotywowaną, że bez powodu często wzmaga się lub niknie.

Istota najsłabsza, pies łaszący się do ciebie, dziecię uśmiechające się, chociaż tak pierwszy jak i drugie, nie mogłoby cię ochronić przed niczym, są jednakże wówczas prawdziwą dla serca twego podporą, jeżeli nie obroną. Gdybym była miała przy sobie tę dziewczynę, która od pięciu lat już mnie nie opuszczała, której przywiązanie i poświęcenie dla siebie znałam, z pewnością nie byłabym się lękała; gdy tymczasem, pozostawszy samotna, zdało mi się, że z góry już byłam skazana na zatracenie i że nic już ocalić mnie nie zdoła!

Stałam tak przez dwie godziny, nieporuszona. Zimny pot spływał po moim czole, a gdy zegar uderzył godziny — dziesiątą, potem jedenastą — chwyciłam się za poręcz fotela, aby nie upaść.

Pomiędzy jedenastą a dwunastą, zdawało mi się, iż usłyszałam w znacznej odległości wystrzał z pistoletu. Uniosłam się, na wpół oparta o mur kominka, lecz znowu zaległa spokojność. Padłam na siedzenie, z głową opartą o krawędź krzesła.

Pozostałam tak przez czas jakiś z oczami wlepionymi w jeden punkt, nie śmiejąc ich od niego odwrócić, z obawy, aby nie ujrzeć jakiegoś

niebezpieczeństwa rzeczywistego. Wtem nagle zdało mi się, wśród tego głuchego milczenia, że zaskrzypiała krata na wprost ganku oddzielająca ogród od parku. Myśl, że powraca Horacy pokonała na chwilę całą bojaźń; rzuciłam się ku oknu, zapominając o okiennicach; chciałam otworzyć drzwi do przedpokoju, lecz czy to przez przezorność, czy też niezręczność, Malajczyk wychodząc zamknął je za sobą. Byłam formalnie uwięziona. Przypomniałam sobie, że okna z biblioteki wychodziły tak samo, jak z mojej sypialni, na łączkę; odsunęłam zasuwkę i jednym z tych dziwnych poruszeń, które po wielkiej bojaźni znamionują wielką odwagę, weszłam tam bez światła. Sądziłam, że wchodzącym o tej porze do zamku nie mógł być nikt inny, jak tylko Horacy i jego przyjaciele. Okiennice były tylko przymknięte. Odsunęłam jedną z nich i — przy świetle księżyca zobaczyłam wyraźnie człowieka, otwierającego połowę kraty i przytrzymującego ją na wpół uchyloną, gdy dwaj inni wnosili jakiś przedmiot, którego rozróżnić nie mogłam. Skoro przeszli, towarzysz ich zamknął bramę.

Ci trzej ludzie nie szli wprost na ganek, lecz okrążali zamek. Skoro zbliżyli się ku oknu, w którym stałam, mogłam rozpoznać kształt niesionego przez nich ciężaru: było to jakieś ciało zawinięte w płaszcz.

Widok domu, który musiał być zamieszkały, natchnął snąc niesionego nadzieją ratunku, gdyż pod moim oknem rozpoczął się pewien rodzaj walki. W tym szamotaniu jedno ramię spod płaszcza wysunęło się. Było pokryte rękawem od sukni. Nie mogłam wątpić dłużej — ofiarą rozboju była kobieta. Wszystko to trwało zaledwie jedną chwilę.

Tajemnicze ramię, pochwycone silną ręką jednego z mężczyzn, wsunięte zostało pod płaszcz i w mgnieniu oka wszystko znikło na zakręcie w cieniu kasztanowej alei, prowadzącej do małego zamkniętego pawiloniku, który odkryłam wczoraj wśród gęstych dębów.

Nie mogłam rozpoznać tych ludzi; to tylko dostrzec zdołałam, że ubrani byli jak wieśniacy; lecz czy byli nimi rzeczywiście, i co w takim razie robili w

zamku, oraz jakim sposobem posiadali klucz od kraty? Czy to był gwałt, czy też morderstwo? Nie wiedziałam.

Prawdopodobnie było to jedno i drugie.

Wszystko to razem było dla mnie tak niezrozumiałe i szczególne, że czasami zapytywałam sama siebie, czy nie jestem pod wrażeniem jakiegoś snu strasznego; zwłaszcza, że nie słychać było żadnego hałasu, a noc była cicha i spokojna.

Stałam przy oknie nieporuszona z trwogi, nie śmiejąc opuścić miejsca, aby szelest mych kroków nie obudził niebezpieczeństwa, jeżeli rzeczywiście mogło mi ono grozić. Wtem przypomniałam sobie o drzwiach ukrytych i o schodach tajemnych. Zdawało mi się, że z tej strony słyszę głuchy jakiś odgłos. Wbiegłam szybko do mego pokoju, zamknęłam i zaryglowałam drzwi, po czym upadłam na kanapę nie uważając, iż podczas mojej nieobecności jedna z dwóch świec zagasła...

Tym razem już nie bojaźń urojona mnie opanowała: jakaś rzeczywista zbrodnia była spełniona, której sprawcy przesuwali się w mej przytomności. Zdawało mi się co chwila, że ujrzę otwierające się drzwi tajemne lub jakąś usuwającą się ścianę. Za każdym najmniejszym hałasem, pochodzącym nieraz po prostu od trzeszczących z gorąca mebli lub zsychnającej się posadzki, drżałam z trwogi i czułam, jak serce moje uderzało na równi z wahadłem zegara. W tej chwili płomień z zapalonej świecy zajął papier, w który była zawinięta; chwilowy blask oświetlił cały pokój, po czym gasł z wolna, knot wpadł w otwór lichtarza i pozostałam bez światła, przy słabym blasku niedopalonego kominkowego ogniska.

Szukałam naokoło wzrokiem, aby ogień podsycić, lecz nic nie dojrzałam. Wówczas zsunęłam zarzewie i na chwilę ogień zajaśniał nowym blaskiem; drżący jego płomień nie był jednakże światłem, które by mogło mnie uspokoić; każdy przedmiot zdawał się być ruchomy, jak ów blask, który go oświecał; drzwi się poruszały, franki kołysały, długie ruchome cienie przesuwaly się po

suficie i obiciu. Czułam, że słabo mi się robi i że strach mnie tylko powstrzymuje od zemdlenia; w tej chwili usłyszałam ów zwykły dźwięk poprzedzający uderzenie zegara; po chwili wybiła dwunasta.

Niepodobna jednakże przepędzić nocy całej w fotelu; czułam przejmujące zimno. Umyśliłam więc położyć się na łóżku, nie rozbierając. Nie oglądając się wsunęłam się pod kołdrę i nakryłam głowę, nie mogąc usnąć. Tę godzinę pamiętać będę całe moje życie. Pająk przadł sieć swoją w ramach alkowy, a ja przyglądałam się bezustannej pracy nocnego robotnika. Naraz przestał pracować, wstrzymany innym szmerem. Zdawało mi się, iż słyszę ten sam odgłos, jaki wydał guzik mosiężny w drzwiach ukrytych biblioteki, gdym go przycisnęła. Wysunęłam żywo głowę spod kołdry i z wyciągniętą szyją, z ręką na sercu, aby powstrzymać jego bicie, czekałam w milczeniu myśląc jeszcze, że może się mylę. Wkrótce jednakże wątpić przestałam.

Nie omyliłam się. Podłoga zatrzeszczała pod ciężarem ciała, ktoś zbliżył się i przypadkiem trącił o stolik, lecz zapewne zląkł się, aby go nie dosłyszano, bo szmer ustał natychmiast i zaległa zupełna cisza.

Pająk na nowo rozpoczął swą pracę...

O! Wszystkie te szczegóły, widzisz, wszystkie te szczegóły tak się przedstawiają mojej pamięci, jak gdybym się tam jeszcze znajdowała i leżała na łóżku, konając z przerażenia i trwogi.

Wkrótce usłyszałam nowe jakieś poruszenie w bibliotece; ktoś znowu się posuwał, zbliżając się do obicia, przy którym stało moje łóżko. Ręka oparła się o parawan. Byłam więc oddzielona od idącego tylko wątlą przegrodą. Zdawało mi się, iż słyszę przyciśniętą sprężynę.

Leżałam nieporuszona, jakby śpiąca, sen był jedyną moją obroną. Jeżeli to jest złodziej — myślałam — spostrzegłszy, iż go ani widzę, ani słyszę, oszczędzi mnie może i osądzi, że moja śmierć nie przyniesie mu żadnej korzyści. Byłam twarzą zwrócona do ściany, a zatem pozostawałam w cieniu, co mi dozwalało mieć oczy otwarte. Ujrzałam wreszcie poruszające się firanki,

uchylając ją z wolną ręką, potem bladą twarz, osłoniętą czerwoną draperią firanek, pochylając się nade mną. W tej chwili ostatni blask ogniska, drżącego w głębi alkowy, oświecił mi to zjawisko. Poznałam hrabiego Horacego i zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam widzenie znikło, jakkolwiek firanki jeszcze się poruszały. Słyszałam zamykającą się ścianę, potem szelest ginących kroków, skrzypnięcie drzwi i wszystko powróciło do zupełnego spokoju i milczenia. Nie wiem, jak długo tak pozostawałam bez tchu i poruszenia, ale nad ranem, znużona tym bolesnym czuwaniem, wpadłam w kompletne odrętwienie.

ROZDZIAŁ XII

Obudzona zostałam przez Malajczyka pukającego do drzwi, które zamknęłam na zasuwkę. Odsunęłam ją. Służący otworzył okiennice i ujrzałam w moim pokoju dzień i słońce.

Pobiegłam do okna.

Był to jeden z tych pysznych poranków jesiennych, kiedy niebo, zanim się pokryje chmurami, rzuca ziemi ostatni uśmiech. W parku było tak cicho i spokojnie, że sama zaczęłam wątpić o sobie. A przecież wypadki nocne żywo utkwily w mym sercu; każde miejsce przypominało mi ich szczegóły. Przecież z pewnością widziałam otwierającą się kratę dla przejścia trzech mężczyzn, widziałam kobietę, widziałam ich idących tą aleją; ślady ich kroków teraz jeszcze widoczne były na piasku, a widoczniesze w miejscu, gdzie ofiara się opierała, bo ci, którzy ją unosili, musieli się zatrzymać, ażeby zwalczyć jej szamotanie. Ślady widoczne były i ginęły w alei kasztanowej.

Chciałam je widzieć, aby, jeżeli to być może, wzmocnić jeszcze swe przekonanie, jak gdyby nowe jakieś dowody potrzebne mi były. Weszłam do biblioteki. Okiennica była na wpół uchylona, tak jak ją pozostawiłam; na środku pokoju leżał przewrócony stół, którego upadek słyszałam; zbliżyłam się do ściany i dojrzałam szparę, przycisnęłam listwę — odsunęła się, w tej chwili

otworzono drzwi do mojego pokoju... Zaledwie miałam czas zasunąć listwę i wziąć pierwszą lepszą książkę z biblioteki.

Był to Malajczyk; przychodził dać znać, że śniadanie gotowe. Wchodząc do sali jadalnej, zadrżałam zdziwiona. Pewna byłam, że ujrzę Horacego, lecz nie tylko, że go nie zastałam, ale zobaczyłam, iż tylko jedno nakrycie było przygotowane.

— Hrabia nie powrócił? — zawołałam.

Malajczyk dał znak przeczący.

— Nie? — zawołałam osłupiała.

— Nie — zaprzeczył raz jeszcze.

Upadłam na krzesło. Hrabia nie powrócił, a jednakże widziałam go; przyszedł do mego łóżka, podniósł firanki, w godzinę później, kiedy ci trzej ludzie... Ależ ci trzej ludzie... Tak — to był Horacy ze swymi przyjaciółmi — Horacy, Maks i Henryk, którzy porwali kobietę!... Oni tylko sami mogli mieć klucz od parku, mogli wejść nie widziani i bez żadnej przeszkody. Tak, to oni, bez wątpienia! Dlatego to widać hrabia nie chciał, abym przyjechała do zamku, dlatego przyjął mnie tak zimno, dlatego wymyślił to polowanie! Porwanie tej kobiety było postanowione przed moim przyjazdem; porwanie to było spełnione. Hrabia już mnie nie kocha; kocha inną i ona jest w zamku, zapewne w pawilonie...

Tak — a hrabia, ażeby się przekonać, że nic nie widziałam ani słyszałam, przyszedł przez schody do biblioteki, przycisnął sprężynę w futrynie, odsunął firanki mego łóżka, a pewny że śpię, powrócił do swych miłostek. Wszystko to nareszcie zrozumiałam, jakbym na to patrzyła. W jednej chwili zazdrość oświeciła ciemności — zwała mury — wszystko wiedziałam.

Wyszłam na powietrze, bo czułam, że się duszę.

Spostrzegłam, że ślady kroków już zatarto, piasek zrównano gracą. Postępowałam aleją kasztanową i doszłam do gęstwiny dębów, do pawilonu, obeszłam go wokoło, zdawał się nie zamieszkanym i zamkniętym, tak jak dnia

poprzedniego. Powróciłam do zamku, a wszedłszy do mego pokoju rzuciłam się na kanapkę, na której w dniu zeszłym tyle strasznych przeżyłam godzin.

Dziwiłam się memu przestraszowi... Byłże to cień, byłż to ciemności lub raczej nieprzytomność, gwałtowną spowodowana namiętnością, która tak złamała me serce?

Przepędziłam część dnia w moim pokoju, przechadzając się, otwierając i zamykając okno, oczekując wieczora z równą niecierpliwością, jak dnia poprzedniego się go lękałam. Dano mi znać, że obiad już gotów. Zeszłam do sali jadalnej i ujrzałam, tak jak rano, jedno nakrycie; przy nim leżał list. Poznałam pismo Horacego, żywo zerwałam pieczętkę.

Tłumaczył się, że przez całe dwa dni tak mnie pozostawia samą, lecz nie mógł powrócić, dawszy słowo przed moim przyjazdem, którego musi dotrzymać, chociaż wiele go to kosztuje. Zgniotłam list i wrzuciłam go do ognia, nie doczytawszy do końca; obiad jednak jadłam, aby odwrócić podejrzenie Malajczyka. Po obiedzie powróciłam do swego pokoju.

Polecenie, dane dnia poprzedzającego, było i dziś wykonane. Znalazłam duży ogień na kominku, lecz tego wieczora co innego mnie zajmowało. Miałam coś postanowić. Usiadłam więc, aby się namyślić. O wczorajszym strachu zupełnie zapomniałam.

Hrabia i jego przyjaciele weszli przez kratę, bo oni to byli, o tym nie wątpiłam. Zanieśli tę kobietę do pawilonu, po czym hrabia powrócił ukrytymi drzwiami do zamku, aby się przekonać, czy śpię i czy nic nie widziałam, ani słyszałam. Powinnam więc pójść tą samą drogą — umyśliłam wyjść przez tajemne drzwiczki.

Spojrzałam na zegarek — było wpół do dziewiątej, zbliżyłam się do okiennic — nie były zamknięte. Zapewne więc tej nocy nie było nic do ukrycia, ponieważ zaniedbano wczorajszej ostrożności. Otworzyłam okno.

Zanosilo się na burzę. Słyszałam z daleka odgłos grzmotu, a szum bałwanów uderzających o brzegi morza dochodził aż do mnie. Lecz w moim sercu wrzała

stokroć większa burza, niż w naturze, a myśli ciemne i duszące rozrywały mi głowę jak wody oceanu.

Dwie godziny upłynęły, zanim zrobiłam pierwsze poruszenie i oczy moje odwróciły się od małego pośród drzew stojącego posagu, którego wcale, co prawda, nie widziałam.

Na koniec — pomyślałam — już chwila właściwa nadeszła; nie słyszałam żadnego szmeru w zamku. Deszcz, taki sam, jaki w nocy z 27 na 28 października kazał mi szukać schronienia w ruinach, zaczął i wówczas padać gwałtownie. Wystawiłam nań głowę, aby ją ochłodzić, po czym zamknęłam okno i okiennice.

Wyszłam z mego pokoju na korytarz. Nikt nie czuwał w zamku. Malajczyk spał lub usługiwał może swemu panu w innej części mieszkania... Powróciłam więc do siebie i zasunęłam rygle. Było wpół do jedenastej i wciąż było słychać wycie huraganu, który wyśmienicie mi dopomagał do zagłuszenia hałasu, jaki mogłam zrobić mym wyjściem. Wzięłam świecę, chcąc pójść do biblioteki; była na klucz zamknięta.

Widziano mnie w niej z rana, lękano się więc, abym nie odkryła schodów i dlatego ją zamknięto. Szczęściem hrabia sam mi wskazał inne przejście.

Odsunęłam łóżko, przycisnęłam ruchomą ścianę, otworzyła się i wyszłam.

Szłam prosto, krokiem pewnym, bez wahania, ku drzwiom ukrytym, wyjęłam książkę zasłaniającą guzik, przycisnęłam sprężynę — drzwi się otworzyły...

Znalazłam się na schodach tak wąskich, iż jedna tylko osoba przejść po nich mogła. Przebyłam trzy piętra, na każdym się zatrzymując, lecz nic nie usłyszałam.

Przy zejściu z trzeciego piętra znalazłam drugie drzwi. Były zasunięte tylko na rygiel, otworzyłam go łatwo.

Znalazłam się pod sklepieniem, ciągnącym się prosto; postępując dalej blisko przez pięć minut, doszłam do trzecich drzwi, które również otworzyłam

bez trudności. Prowadziły one na schodki, takie same jak z biblioteki, lecz te ciągnęły się tylko przez dwa piętra.

Doszedłszy do końca, usłyszałam głosy.

Zgasiłam świecę i położyłam ją na ostatnim stopniu; potem, zobaczywszy zrujnowany komin, wsunęłam się przez otwór i weszłam do małego gabineciku, słabo oświetconego maleńkim okienkiem we drzwiach, prowadzących do sąsiedniego pokoju, i zasłoniętym małą, zieloną firanką. Co do okien, te były tak szczelnie zamknięte, że nawet zapewne wśród dnia żadne światło tu się przedostać nie mogło.

Nie omyliłam się; słyszałam wyraźnie czyjeś głosy. W sąsiednim pokoju prowadzona była głośna rozmowa. Poznałam głos hrabiego i jego przyjaciół. Przystawiłam stół do drzwi, weszłam nań i tym sposobem widziałam wszystko.

Horacy, Maks i Henryk siedzieli przy stole. Uczta widocznie bliska była końca. Malajczyk im usługiwał, stojąc za krzesłem pana. Wszyscy biesiadnicy ubrani byli jednakowo w niebieskie bluzy, za pasem mieli myśliwskie noże, przy każdym, na stole, leżały pistolety. Horacy powstał, jakby chciał odejść.

— Odchodzisz? — zapytał Maks.

— Cóż chcesz, abym tu robił? — odpowiedział hrabia.

— Pij! — zawołał Henryk, podnosząc swoją szklankę.

— Piękna przyjemność pić z wami — odrzekł hrabia. — Po trzeciej butelce jesteście pijani jak tragarze.

— Grajmy!...

— Nie jestem szachrajem, ażeby zabierać wam pieniądze, kiedy nie jesteście w stanie ich bronić — odrzekł wzruszając ramionami.

— A więc! — zawołał Maks — staraj się pozyskać łaski naszej pięknej Angielki. Twój służący umiał wziąć się do rzeczy, ażeby nie była zbyt okrutna. Słowo honoru, tęgi zuch! Masz w nagrodę.

I rzucił Malajczykowi garść złota.

— Wspaniałomyślny... jak złodziej — powiedział hrabia.

— No, no, nie ma co na to odpowiadać — odrzekł Maks powstając. — Chcesz tę kobietę, czy jej nie chcesz?

— Nie chcę.

— Więc ja ją wezmę.

— Za pozwoleniem! — zawołał Henryk, wyciągając rękę. — Zdaje mi się, że i ja coś tu znaczę, i mam takie same prawo, jak każdy z was. Kto zabił jej męża?

— To prawda, poprzednika! — zawołał, śmiejąc się hrabia.

Na te słowa jęk dał się słyszeć. Zwróciłam głowę w stronę, skąd pochodził. Związana kobieta leżała na łóżku. Moja uwaga była dotąd zwrócona na jeden tylko przedmiot; nie dojrzałam jej więc zupełnie.

— Tak — odpowiedział Maks — ale kto na nich czekał w Hawrze? Kto tu przybył galopem, aby wam dać znać?

— Do diabła! — przerwał hrabia — Rzecz zaczyna być zawikłana i sam król Salomon nie mógłby rozsądzić, kto ma mieć więcej praw: szpieg czy morderca?

— Musi jednak raz temu być koniec — odpowiedział Maks. — Zaczynam na serio myśleć o tej kobiecie i widzę, że się w niej zakochałem.

— I ja także — wtrącił Henryk. — A więc jeżeli ty o nią nie dbasz, oddaj ją jednemu z nas dwóch.

— Tak, aby pozostały po uczcie poszedł mnie zadenuncjować; teraz już sami nie wiecie, co robicie. O! Nie, panowie. Jesteście młodzi, piękni, bogaci; daję wam dziesięć minut czasu na oświadczenie się. Idźcie, moi Don Juani...

— Prawdę mówiąc, masz słusność, dobra myśl — rzekł Henryk — niech sama wybierze tego, który jej się lepiej podoba.

— Dobrze, przystaję — zawołał Maks — ale niech się spieszy. Wyłumacz jej to ty, co mówisz wszystkimi językami.

— Bardzo chętnie! — odpowiedział Horacy.

Po czym zwrócił się do nieszczęśliwej kobiety.

— Milady — rzekł najczystszy angielskim akcentem — widzisz przed sobą dwóch rozbójników, moich przyjaciół; obydwaj potomkowie szlacheckich rodzin, czego dowody na pergaminie złożyć ci mogą, jeżeli sobie tego życzyć będziesz: wychowani w zasadach sekty platonickiej, jeśli idzie o podział dóbr. Zaczęli naprzód od zjedzenia własnego dziedzictwa, po czym widząc, że wszystko źle jest urządzone w społeczeństwie, powzięli cnotliwą myśl zaczajania się na gościńcach, przez które przechodzą jego członkowie i przez to poprawiać zaczęli, co było niesprawiedliwością, prostować pomyłki i równoważyć nierówności. Od pięciu lat, z największą chwałą dla filozofii i policji, zajmują się z całym poświęceniem tą misją, za pomocą której mogą odgrywać w paryskich salonach rolę ludzi uczciwych i która im dozwoli, tak jak mnie się to zdarzyło, dobrze się ożenić i na koniec poprzestać grać rolę Karola Moora, lub Jana Sbogara. Tymczasem jednak, ponieważ w tym zamku nie ma innej kobiety, prócz mojej żony, której im ustąpić nie chcę, błagają cię usilnie, abyś wybrała jednego z nich. Czy dobrze wyraziłem się po angielsku i czyś mnie pani zrozumiała?

— Jeżeli masz pan odrobinę litości w sercu — zawołała biedna kobieta — zabij mnie! Zabij!...

— Co ona mówi? — szepnął Maks.

— Mówi, że to podłość — odpowiedział Horacy — a ja przyznaję, że jestem tego samego zdania.

— A więc? — zawołał Maks i Henryk, razem powstając.

— A więc, róbcie jak chcecie — odpowiedział Horacy siadając, a napełniwszy szklankę szampańskim winem, wypił ją duszkiem.

— O! Zabij mnie, zabij! — wołała młoda kobieta...

W tej chwili Maks i Henryk rozgrzani winem, stojąc naprzeciw siebie, spoglądali z gniewem.

— Nie chcesz więc mi jej ustąpić? — zapytał Maks.

— Nie — odpowiedział Henryk.

— Ona do mnie należy!

— Zobaczymy!

— Henryku! Henryku! — wołał Maks zgrzytając zębami — Przysięgam ci na honor, że ta kobieta do mnie należeć będzie.

— A ja klnę się na życie, że będzie moja; wiesz zaś, że ja więcej cenię życie, niż ty honor.

Wówczas obydwaj razem cofnęli się gwałtownie i wydobyli swe myśliwskie noże.

— Przez litość! Przez litość w imię nieba, zabij mnie! — zawołała po raz trzeci kobieta...

— Co mówicie? — przemówił z wolna Horacy tonem pana, zwracając się do dwóch młodych ludzi.

— Powiedziałem już — odrzekł Maks rzucając się z nożem na Henryka — że ta kobieta będzie moja.

— A ja — odparł Henryk, zamierzając się również — utrzymuję, że nie do niego, lecz do mnie należeć będzie.

— A więc! — szepnął Horacy — Dowiodę wam, że obaj kłamiecie; ani jeden, ani drugi mieć jej nie będzie.

Po tych słowach powstał, wziął ze stołu pistolet, podniósł go z wolna w kierunku łóżka i wystrzelił. Kula przeszła pomiędzy dwoma walczącymi i ugodziła kobietę w samo serce.

Na ten widok wydałam straszliwy okrzyk i padłam zemdlona, na pozór martwa, jak ta, którą dosięgła zabójcza kula.

ROZDZIAŁ XIII

Kiedy odzyskałam zmysły znajdowałam się w podziemiu. Hrabia usłyszawszy prawdopodobnie mój krzyk i upadek, korzystając z mego omdlenia, które zapewne trwało parę godzin, przeniósł mnie do tego grobu,

pozostawiwszy na kamieniu lampę, szklanekę trucizny i list. Co pisał w liście, powtórzę ci dosłownie...

— Czyż wahasz się jeszcze pokazać mi go — zawołałem — czyż mi jeszcze nie ufasz?

— Spaliłam go — odpowiedziała Paulina — lecz bądź spokojny, nie zapomniałam ani jednego słowa. Posłuchaj:

Sama chciałaś — pisał hrabia — aby życie moje było jednym pasmem zbrodni, Paulino; widziałaś wszystko, wszystko słyszałaś; nic ci więcej nowego powiedzieć nie mogę; wiesz już, kim jestem.

Gdyby tajemnica, którą odkryłaś, była tylko moja, gdyby nie było zagrożone niczyje więcej życie, poświęciłbym wszystko, byle nie spadł żaden włos z twej głowy! Przysięgam ci to, Paulino!

Mimowolna jednak nierozwaga, nagły znak przerażenia, jedno słówko wymówione we śnie może zaprowadzić na rusztowanie nie tylko mnie, lecz jeszcze dwóch innych ludzi. Śmierć twoja zapewnia życie trzech istot; musisz więc umrzeć!

Przez chwilę miałem myśl zabić cię w czasie twego omdlenia, lecz zabrakło mi na to odwagi: ty jesteś jedyną kobietą, którą kochałem. Paulino! Gdybyś była wysłuchała mej rady lub raczej wypełniła mój rozkaz, byłabyś w tej chwili przy swojej matce. Przybyłaś tu mimo mej woli; do siebie więc miej żal za swoje przeznaczenie.

Przebudzisz się w podziemiu, gdzie noga ludzka nie powstała od lat dwudziestu, i tyleż lat upłynie, zanim kto zabłądzi w to miejsce. Nie rachuj więc na żadną pomoc, bo ta jest niepodobna. Przy tym liście znajdziesz truciznę. Wszystko, co zrobić mogę dla ciebie — to przygotować ci śmierć prędką i słodką, zamiast konania powolnego i bolesnego. W każdym razie, cokolwiek postanowisz, wiedz, że już nie żyjesz.

Nikt cię nie widział i nikt cię tu nie znał; ta kobieta, którą zabiłem, ażeby

pogodzić Maksa z Henrykiem, będzie pogrzebana w Paryżu, w grobach twojej rodziny, a matka twoja płakać będzie nad jej ciałem, sądząc, że płacze nad swoim własnym dzieckiem.

Żegnaj cię, Paulino! Nie błagam cię ani o miłosierdzie, ani o przebaczenie; od dawna już jestem przeklęty i twoje przebaczenie nic mi nie pomoże!

— To straszne! — zawołałem — O mój Boże, mój Boże, jakżeś cierpieć musiała!

— Tak jest: wszystko, co bym ci jeszcze opowiedzieć mogła, byłoby tylko opowiadaniem konania... a zatem...

— Mów, mów dalej — zawołałem.

— Przeczytałam list ten dwa czy trzy razy, nic nie rozumiejąc, wątpiąc nawet o rzeczywistości.

Są rzeczy, przeciw którym rozum się buntuje; ma się je przed oczyma, pod ręką, przed sobą, patrzy się na nie, dotyka, a jednak wierzyć im niepodobna.

Podeszłam w milczeniu do kraty — była zamknięta; obeszłam dwa czy trzy razy więzienie, pięścią bijąc w wilgotne mury, po czym usiadłam na kamieniu własnego grobowca. Byłam zamknięta. Przy świetle lampy widziałam list i przygotowaną dla mnie truciznę, a jednak wątpiałam jeszcze. Zdawało mi się, że śpię, że za chwilę obudzę się ze snów dręczących.

Siedziałam tak milcząca i nieruchoma do chwili, w której światło lampy drzeć i migotać zaczęło. Wtedy myśl straszna, myśl, która dotąd nie powstała mi w głowie, uderzyła mnie: lampa zagaśnie. A wtedy... okrzyk przerażenia wyrwał mi się z piersi. Rzuciłam się ku niej — była prawie pusta.

A więc w ciemności — wśród nocy będę się na śmierć gotować!...

Boże! Czego ja bym wówczas nie dała za to, by czymkolwiek drżący ów płomień podniecić. Gdybym była wiedziała, że krew moja palić się będzie, zębami rozszarpałabym żyły, by nie zgasło ostatnie to dla mnie światło na ziemi! Płomień drżał ciągle i bladł co chwila; koło otaczających mnie ciemności

rozszerzało się, krąg światła malał mi w oczach — i czarna, ciemna przestrzeń coraz bardziej koło mnie gęstniała. Zdawała się przygniatać mnie... dusić.

Ukłękałam ze złożonymi rękami, oczy wzniesione wlepiłam... nie w niebo, nie... wlepiłam je w drżący płomyk światła. Do niego, a nie do Boga modliłam się w tej chwili!

Nareszcie zaczęła się ostatnia walka światła z ciemnością — walka, która wydała mi się walką moją, pomiędzy śmiercią a życiem. Nie wiedziałam, czy westchnieniem, modlitwą walkę tę przedłużam? Zdawało mi się jednak, że światło walczyło jeszcze uparcie z szaloną, konwulsyjną siłą przeciw ciemności, przeciw śmierci. Wkrótce rozpoczęło się konanie, były to chwile jasnych, niebieskich odbłyśków, były światła silne, które jakby wyczerpane walką gasły, bladły, by za chwilę zajaśnieć na moment.

Płomień drżał, jak ostatnie tchnienie biegnące z ust umierającego; na koniec zgasł, zabierając z sobą światło, które połową jest życia.

Upadłam w głąb mojej ciemnicy: od tej chwili już nie wątpiłam, bo, rzecz dziwna, dopiero wtedy, gdy przestałam widzieć list i truciznę, uwierzyłam w ich istnienie.

Cisza grobowa nie przerażała mnie przy świetle; gdy ono zagasło, wydała mi się okropną, nie do zniesienia.

Zresztą otoczenie moje było tak ponure, tak przerażające, że gdybym nawet miała nadzieję być usłyszana, nie zdobyłabym się na odwagę wydobyć głosu z piersi.

Dziwna rzecz, że przy zbliżającej się śmierci zapomniałam zupełnie o tym, który był jej powodem; myślałam o położeniu moim pogrążona w trwodze; o nim jednak nie myślałam ani też nie przeklinałam go. Wkrótce zaczęłam uczuwać męczarnie głodu.

Nie umiem oznaczyć czasu, jaki upłynął. Niezawodnie jednak musiał minąć dzień cały i noc już nastała. Wkrótce zajaśniało słońce i promień jego oświecił podstawę kolumny, na której wspierało się podziemie. Wydałam okrzyk radości,

jak gdyby promień ten nadzieję mi przynosił.

Wpatrywałam się w niebo tak uporczywie, że na koniec doskonale zaczęłam rozróżniać przedmioty, które oświecał; było tam kilka kamieni, stos wiórów i kępka mchu; słońce, zawsze ogrzewające jedno miejsce, wyciągnęło na koniec z ziemi tę biedną i nędzną roślinkę. Och, cóż bym dała za to, aby się znajdować w miejscu tego kamienia, tych wiórów i tego mchu, aby choć raz jeszcze dojrzeć nieba kawałek.

Gwałtowne pragnienie zaczęło mi dokuczać, myśli moje zaczęły się mieszać; od czasu do czasu czerwona pomroka zasłaniała mi oczy, a zęby ścisnęły się, jak gdyby w kurczu nerwowym; mimo to oczy ciągle zwrócone miałam ku światłu. Otwór, którym wpadało do ciemnicy, musiał być bardzo mały, bo kiedy słońce obniżyło się cokolwiek promień przyćmił się i zaledwie był widoczny. Zniknięcie to odjęło mi resztę nadziei; wiłam się z rozpaczą i łkałam konwulsyjnie.

Głód mój zamienił się w gwałtowny kurcz żołądka; usta pały; doświadczałam chęci gryzienia, pochwyciłam zębami splot moich włosów. Wkrótce opanowała mnie silna gorączka, chociaż puls bił zaledwie. Pomyślałam o truciznie, padłam na kolana, złożyłam ręce, aby się pomodlić. Modlitwy jednak zapomniałam; przypomniałam sobie zaledwie słów kilka bez związku. Myśli najsprzeczniejsze przebiegały mój umysł; jakaś muzyka brzęczała w uszach; czułam sama, że to już początek delirium. Padłam twarzą na ziemię.

Odrętwienie, spowodowane wzruszeniem i zmęczeniem, jakiego doświadczyłam, opanowało mnie zupełnie, zaczęłam wpadać w senność nie tracąc świadomości położenia. Wówczas rozpoczęła się seria snów, jedne były od drugich dziwniejsze. Sny te, zamiast mnie pokrzepić, odjęły mi resztę sił. Obudziłam się z głodem i pragnieniem pożerającym; wówczas po raz drugi pomyślałam o truciznie, stojącej obok mnie, a obiecującej mi koniec szybki i słodki. Pomimo osłabienia, nieprzytomności, pomimo gorączki drgającej w moich żyłach, czułam, że śmierć jeszcze daleka, że jeszcze wiele godzin na nią

czekać muszę i że godziny najstraszniejsze jeszcze nie przyszły; wówczas postanowiłam raz jeszcze zobaczyć ten promień słońca, który w dniu wczorajszym odwiedził mnie, jak pocieszyciel wciskający się do wnętrza więzienia. Usiadłam z oczyma wlepionymi w miejsce, gdzie się miał ukazać; oczekiwanie to i zajęcie złagodziło trochę straszliwe cierpienia.

Na koniec promień oczekiwany zajaśniał. Ukazał się naprzód blady i przyćmiony... w tym dniu słońce zapewne było pokryte chmurami. Wówczas wszystko, co oświecało na ziemi, przedstawiło się mojej wyobraźni; drzewa, łąki, woda, Paryż, którego już nie zobaczę nigdy, matka moja, którą opuściłam na zawsze — matka moja, która już może w tej chwili zawiadomiona o śmierci mojej, opłakuje swą córkę, żyjącą jeszcze.

Na wszystkie te wspomnienia serce moje się ścisnęło; załkałam i rozplakałam się rzewnie, po raz pierwszy w podziemiu. Powoli uspokoiłam się, łkania gwałtowne ustały, łzy spływały z wolna. Postanowiłam wypić truciznę; jednakże cierpiałam mniej.

Siedziałam, tak samo jak dnia poprzedzającego, z oczyma wlepionymi w promień światła, widziałam je blednące i niknące... Pożegnałam je skinieniem ręki, bo byłam zdecydowana już więcej go nie oglądać.

Wówczas zaczęłam badać własne sumienie. W całym moim życiu — czy jako młoda dziewczyna, czy jako mężatka, nie popełniłam złego czynu; umierałam bez uczucia zemsty i nienawiści. Bóg przyjmie mnie za córkę, ziemię zamieni na niebo. Była to jedyna pocieszająca myśl, której się uczepiłam.

Wkrótce zdawało mi się, że ta myśl nie tylko mnie zajęła, lecz i wszystko, co mnie otaczało. Zaczęłam doświadczać tego świętego uniesienia, które odwagę męczenników stanowi. Stałam prosto z twarzą zwróconą ku niebu i zdawało mi się, że wzrok mój przebije sklepienie i dojdzie do tronu Boga. W tej chwili uniesienie religijne przemogło fizyczne cierpienia, postąpiłam do kamienia, na którym stała trucizna. Widziałam ją wśród ciemności; wzięłam szklanekę do ręki, słuchałam czy nie dojdzie mnie jaki odgłos, patrzyłam czy nie dojrzę światła;

odczytałam w myśli list, który mi mówił, że od dwudziestu lat nikt nie zeszedł do tego podziemia i lat dwadzieścia minie, zanim kto do niego zejdzie. Przekonałam się w duszy o niepodobieństwie uniknięcia cierpień, jakie mnie jeszcze czekają, wzięłam szklanekę z trucizną, poniosłam do ust i wypięłam, łącząc razem z ostatnim szeptem pożegnania, żalu i nadziei, imię mej matki, którą opuszczałam i — imię Boga, do którego dążyłam. Po czym upadłam na ziemię.

Widzenie niebieskie znikło, zasłona śmierci rozciągnęła się między nim a mną. Boleści głodu i pragnienia ustały, oczekiwałam cierpień, które sprowadzić miała trucizna. Oczekiwałam tego zimnego potu, który miał mi oznajmić ostatnie chwile... Nagle usłyszałam wymówione moje imię; otworzyłam oczy i ujrzałam światło. Ty byłeś tam, stałeś przy kracie mojego grobowca!... Ty — to jest światło moje, życie i wolność!...

Wydałam okrzyk i rzuciłam się ku tobie... Wiesz resztę...

A teraz — mówiła dalej — przypominam ci przysięgę twoją na honor, że nie odkryjesz tego straszliwego dramatu, dopóki choć jeden z nich trzech żyć nie przestanie.

Ponowiłem moją przysięgę.

ROZDZIAŁ XIV

Zwierzenie Pauliny uczyniło mi ją jeszcze świętszą. Od tej chwili zrozumiałem, ile winien jej jestem poświęcenia, które moja miłość dla niej czyniła szczęściem. Jednocześnie wszakże zrozumiałem, jaką niedelikatnością byłoby z mej strony okazanie jej miłości mojej inaczej, jak tylko przez najusilniejsze starania, pełne uszanowania i względów.

Ułożyliśmy następujący plan: miała uchodzić za moją siostrę i nazywać mnie bratem; jednakże wymogłem na niej — dając jej do zrozumienia, że mogłaby być poznana przez osoby, które ją spotykały w salonach paryskich —

aby porzuciła myśl dawania lekcji języków i muzyki. Co do mnie, napisałem do mojej matki i siostry, donosząc im, że zamierzam pozostać rok lub dwa w Londynie. Paulina chciała się temu opierać, lecz kiedy zobaczyła, jakim to dla mnie było szczęściem, nie miała odwagi odbierać mi go i zgodziła się na moje postanowienie.

Przez jakiś czas Paulina wahała się, czy powinna odkryć lub też zataić przed matką swą tajemnicę, i czy nieżyjąca dla całego świata, żyć miała dla tej, która życie jej dała. Ja nakłaniałem ją do tego ostatniego, choć mi to odebrać miało tytuł i prawa opiekuna, które tak szczęśliwym mnie czyniły. Paulina, po głębokim namyśle, z wielkim moim podziwieniem, oddaliła myśl tę i pomimo próśb moich, wyjawić mi nie chciała przyczyny, utrzymując, że nie chce mnie martwić.

Dnie mijały ciche i smutne dla Pauliny; dla mnie pełne nadziei, jeżeli nie szczęścia, bo codziennie zbliżały nas do siebie różne drobnostki, tak że sama, nie domyślając się tego, powoli, lecz coraz to więcej przywiązywała się do mnie; jeżeli pracowaliśmy razem, ona zajęta haftem — ja rysunkiem, zdawało mi się nieraz, iż wzniósłszy na nią oczy jej wejrzenie spotykałem w sobie wlepione; jeżeli wychodziliśmy razem, z lekka i obojętnie opierała swą rękę na moim ramieniu; później, czy to wskutek osłabienia czy też opuszczenia, czułem ją łagodnie opierającą się na mnie i jeśli sam wychodziłem na miasto, zawsze prawie doszedłszy do rogu ulicy Św. Jakuba, widziałem ją stojącą w oknie, spoglądającą w stronę, z której przyjść miałem. Wszystkie te oznaki, które można było przypisać przyzwyczajeniu lub wdzięczności, ukazywały się dla mnie jako nadzieja przyszłości. Byłem jej wdzięczny za najmniejszy dowód życzliwości, dziękując za to w głębi mego serca, bo lękałem się głośno jej to mówić, aby sama nie dostrzegła, że jej serce powoli zaczyna czuć dla mnie więcej niżeli przyjaźń braterską.

Korzystałem z moich listów polecających i, lubo żyliśmy na osobności, przyjmowaliśmy czasami odwiedziny, bo powinniśmy byli zarówno unikać

zgiełku światowego jak i samotności. Pomiędzy naszymi znajomymi znajdował się młody lekarz, który od trzech lub czterech lat zdobył sobie w Londynie wielką sławę, z powodu swoich głębokich studiów nad niektórymi chorobami organicznymi; ilekroć nas odwiedził, zawsze spoglądał na Paulinę badawczo, z uwagą, a po każdym jego wyjściu doznawałem jakiegoś niepokoju; rzeczywiście jej piękne i świeże rumieńce młodości zniknęły od dnia, kiedy ją znalazłem umierającą w podziemiu. Z początku przypisywałem to boleści i zmęczeniu; teraz jednak na jej twarzy zaczęły się od czasu do czasu pojawiać gorączkowe wypieki, które przerażały mnie więcej jeszcze od tej bladości. Czasami bez przyczyny dostawała spazmów gwałtownych, po których wpadała w omdlenie. Przez kilka dni po takich atakach pozostawała w głębokiej melancholii; powtarzały się one coraz to częściej i pewnego dnia, gdy doktor Heart przyszedł nas odwiedzić, wziąłem go pod rękę i zaprowadziłem do naszego maleńkiego ogródka.

Obeszliśmy go razy kilka nic nie mówiąc i usiedliśmy na tej samej ławeczce, na której Paulina opowiedziała mi swoją straszną historię. Tam, po chwili milczenia, chciałem rozpocząć rozmowę, gdy doktor sam mnie uprzedził.

— Jesteś pan zaniepokojony zdrowiem siostry? — zapytał.

— Przyznaję — odpowiedziałem — że ty sam, doktorze, naprowadziłeś mnie na myśl, iż masz względem niej jakieś obawy.

— Rzeczywiście — odrzekł doktor — jest ona zagrożona chroniczną chorobą żołądka. Czy nie uległa jakiemuś wypadkowi, który osłabił jej organizm?

— Była otruta...

Doktor zamyślił się.

— Tak, nie omyliłem się, przepiszę ci dietę, do której zastosujesz się jak najściślej, w dodatku staraj się dostarczyć jej jak najwięcej rozrywek. Może tęskni za krajem, podróż do Francji dobrze by jej zrobiła.

— Nie chce tam wracać.

— Jedź więc z nią do Szkocji, Irlandii, do Włoch, gdzie zechcesz zresztą, ale wyjazd jest tu bezwarunkowo konieczny.

Uścisnąłem rękę doktora i powróciliśmy do salonu.

Przepis kuracji miał przysłać mnie samemu. Nie chcąc niepokoić Pauliny, umyśliłem z wolna zmienić tryb naszego życia, ostrożność ta jednak była zbyteczna, zaledwie doktor wyszedł, Paulina wzięła mnie pod rękę.

— Powiedział ci wszystko, nieprawdaż? — zapytała.

Udałem, że jej nie rozumiem. Smutnie się uśmiechnęła.

— Widzisz więc, dlaczego nie chciałam pisać do matki. Na co jej powracać dziecię, które za rok lub dwa śmierć jej wyrwie. Dostyc jest raz jeden opłakać tych, których się kocha.

— Mylisz się, co do stanu twojego zdrowia — zawołałem — jest to tylko lekka niedyspozycja.

— O nie, jest to stan groźny — odpowiedziała Paulina ze swym słodkim i smętnym uśmiechem — czuję, że trucizna pozostawiła swe ślady; lecz słuchaj mnie — ja nie chcę tracić nadziei, ocal mnie po raz drugi, Alfredzie. Rozkaż, co mam czynić.

— Wypełnić przepisy doktora, są one łatwe, tryb życia prosty lecz punktualny, zresztą rozrywka, podróże.

— Gdzie chcesz, abyśmy pojechali? Jestem gotowa.

— Wybieraj sama kraj najsympatyczniejszy dla siebie.

— Jedźmy do Szkocji, ponieważ już zrobiliśmy połowę drogi.

— Do Szkocji? Dobrze.

Porobiłem szybko przygotowania i w trzy dni później opuściliśmy Londyn. Przez chwilę zatrzymaliśmy się nad brzegami Tweedu, aby go powitać tym pięknym przekleństwem Schillera, jakie kładzie w usta Marii Stuart:

„Natura rzuciła Anglików i Szkotów na deskę położoną w pośrodku Oceanu, podzieliła na dwie nierówne części i skazała jego mieszkańców na ciągłe walki o jej posiadanie. Wąskie łoże Tweedu rozdziela rozjątrzone umysły i bardzo

często krew dwóch ludów miesza się z jego wodami. Z mieczem w ręku od lat tysiąca patrzą na siebie i grożą sobie nawzajem; nigdy jeszcze nieprzyjaciel nie uciemieżał Anglii, ażeby Szkotowie nie szli z nim razem, nigdy wojna domowa nie ogarniała ogniem miast szkockich, aby Anglicy nie zbliżali się do nich z zapaloną pochodnią, i trwać to będzie tak długo, dopóki jeden parlament nie połączy jak siostry dwóch krajów i jednego nie rozciągnie berła nad całą wyspą”.

Wjechaliśmy do Szkocji.

Zwiedziliśmy z Walter Scottem w ręku całą tę poetyczną ziemię, którą on czarodziejsko zaludnił dawniejszymi mieszkańcami, oryginalnymi lecz wdzięcznymi tworamii swej fantazji, odnaleźliśmy na urwiskach ścieżki roztropnego Dalgateja, jadącego na wiernym Gustawie; okrążyliśmy jezioro, nad którym wieczorem unosiła się jak mgła Biała Dama z Awenalu; siedzieliśmy na ruinach zamku Lochlewen o tej samej godzinie, w której nieszczęśliwa królowa Szkocji szukała tam schronienia; szukaliśmy na brzegach Tay obozu, gdzie Torkwil du Chêne widział bez skargi upadających pod mieczem puszkarza Schmita swoich siedmiu synów, powtórzywszy tylko po siedemkroć: „Jeszcze jeden za Echara”.

Ta wycieczka będzie widocznie dla mnie snem szczęścia, nie mającego się nigdy urzeczywistnić w przyszłości. Paulina była obdarzona jedną z tych wrażliwych organizacji, jaka jest potrzebna artystom, a bez której podróż jest tylko prostą zmianą miejscowości, ruchem przyspieszonym w zwykłym życiu, środkiem roztargnienia, widokiem różnych nieznanymi przedmiotów. Nie zapomniała o żadnym wspomnieniu historycznym; poezja natury czy w mgle porannej, czy zmroku wieczornym, nigdy nie była dla niej stracona. Co do mnie, byłem pod wpływem czaru: nigdy słowo o przeszłości nie było między nami wymówione od chwili, w której mi wszystko opowiedziała, częstokroć zapominałem się, jak gdyby przeszłość nigdy nie istniała. Teraźniejszość tylko mieliśmy przed oczami, przebywając na obcej ziemi.

Ja miałem obok siebie Paulinę tylko, ona także mnie tylko jednego. Węzły łączące nas zacieśniały się codziennie przez ciche, odosobnione życie, czułem, iż codziennie więcej w jej sercu zajmuję miejsca, co dzień uściśnienie ręki, co dzień uśmiech na ustach... Ona, nie domyślając się sama, mimo woli poddawała się uczuciu z całą naiwnością szlachetnej swej duszy. Im pewniejszy byłem jej miłości, tym więcej strzegłem się wspomnieć o tym, lękając się, by nie dostrzegła, iż już od dawna oboje przekroczyliśmy granice przyjaźni.

Co do zdrowia Pauliny, przypuszczenia doktora urzeczywistniały się po części: ruch, zmiana miejsca, pomagająca do zapomnienia przeszłości, która stała jej zawsze na myśli, wyraźnie podreperowały jej zdrowie. Ona sama zaczynała zapominać. Im bardziej przeszłość niknęła we mgle zapomnienia, tym jaśniej ukazywała nam się jutrznia dnia nowego. Życie Pauliny, które zdawało się już dotykać grobu, cofnęło się w atmosferę ciepła i miłości, która rozkoszą tajemną dusze nasze napełniała.

Przepędziliśmy lato w Szkocji, po czym powróciliśmy do Londynu i zajęli nasz mały domek na Piccadilly z przyjemnością, jaką zawsze daje powrót do domu po długiej, chociażby najmilszej, podróży. Nie wiem, co się działo w sercu Pauliny, czułem jednak, że nigdy nie byłem równie szczęśliwy.

Uczucie, które nas łączyło, nie było mniej od braterskiego uczucia czyste. Od roku już nie wspomniałem o swej miłości Paulinie, ona nie wspomniała mi ani słowem o miłości swojej; oboje jednak czytaliśmy w sercach naszych jak w księdze otwartej, jedno dla drugiego nie miało tajemnicy. Czy pragnąłem więcej nad to, co otrzymałem? Nie wiem; tyle było wdzięku w obecnym moim położeniu, że zdawało mi się, iż większe jeszcze szczęście musiałoby pociągnąć za sobą, groźbę jaką lub nieszczęście. Jeżeli nie byłem jej kochankiem, byłem za to więcej niż przyjacielem; byłem drzewem, do którego jak wiotki bluszcz się tuliła; byłem słońcem, które ją oświecało. Wszystko, co dla niej istniało, ode mnie pochodziło i nie wątpiłem, że nadejdzie chwila, w której to, co istniało przeze mnie, dla mnie istnieć będzie.

Takie było wspólne nasze położenie, gdy dnia jednego odebrałem list od mojej matki donoszący, że siostrze mej trafia się świetna partia. Hrabia Horacy de Beuzeval, który prócz swego osobistego majątku odziedziczył po pierwszej żonie, Paulinie de Meulien, dwadzieścia pięć tysięcy liwrów dochodu, oświadczył się o rękę Gabrieli.

Szczęściem byłem sam, gdy mi ten list oddano; osłupienie moje byłoby mnie zdradziło. A więc znów zrządzenie Opatrzności stawiało hrabiego de Beuzeval przed jedynym w świecie człowiekiem, który znał rzeczywistą jego wartość.

Jakkolwiek zapanowałem nad sobą, Paulina, gdy tylko weszła, spostrzegła natychmiast, iż podczas jej nieobecności musiało mnie spotkać coś nadzwyczajnego. Kiedy jednak powiedziałem jej, że interesy rodzinne zmuszają mnie do wyjazdu na czas krótki do Francji, przypisała zmianę w mej twarzy zmartwieniu, jakiego doświadczałem na myśl rozłączenia z nią. Zbladła i zachwiała się; po raz to pierwszy od roku mieliśmy się rozłączyć, a między kochającymi każda, choćby chwilowa, rozłąka jest pełną troski, obaw i przeczuć bolesnych.

Nie miałem ani chwili do stracenia, umyśliłem wyjechać nazajutrz. Udałem się do mego pokoju, aby zrobić przygotowania do podróży. Paulina zeszła do ogrodu, gdzie się wkrótce z nią połączyłem.

Ujrzałem ją siedzącą na ławce, na której opowiedziała mi historię swego życia. Od tamtego czasu, jak gdyby rzeczywiście zostawała uspiona, żaden głos z Francji nie zbudził jej; lecz może już zbliżała się chwila, w której spokojność miała być przerwana, a przyszłość, której zapomnienie było jednym celem mego życia, miała się dla niej boleśnie poplątać z przeszłością.

Znalazłem ją smutną i zamyśloną.

— Jedziesz więc? — zapytała.

— Muszę, Paulino! — odpowiedziałem głosem, który usiłowałem uczynić spokojnym — Wiesz lepiej, niż kto inny, że są wypadki w życiu, które gwałtem wrywają nas z miejsc, których byśmy opuścić nie chcieli. Szczęście mej matki,

siostry, a nawet szczęście moje, o którym, gdyby o nie tylko chodziło, nie wspominałbym ci nawet, zmuszają mnie do tej podróży.

— Jedź zatem — smutnie odpowiedziała Paulina — jedź, lecz nie zapominaj, że w Anglii pozostawiasz siostrę, która nie ma matki, której szczęście od ciebie tylko zależy, a która chciałaby także coś zrobić dla ciebie.

— Och, Paulino — zawołałem przyciskając ją do serca — powiedz, czyś na chwilę zwątpiła o mojej miłości? Czyż sądzisz, że najszcześniejszym dniem mego życia nie będzie ten, w którym powrócę do tego małego domku, do naszego zacisza? Czyż sądzisz, że to nie szczęście żyć z tobą jak brat z siostrą, z nadzieją dni szczęśliwszych jeszcze? Wszak wierzysz mi, najdroższa?

— Tak, wierzę ci — odpowiedziała Paulina — bo wątplenie byłoby z mej strony niewdzięcznością. Miłość twoja była dla mnie tak wzniosła i delikatna, że mogę o niej mówić bez rumieńca, jak gdybym mówiła o jednej z cnót twoich. Co do większego jeszcze szczęścia, którego się spodziewasz, Alfredzie — nie rozumiem go. Nasze szczęście, jestem tego pewna, zależy na czystości naszych uczuć, i im więcej położenie moje jest wyjątkowe, im więcej jestem uwolnioną od obowiązków moich względem społeczeństwa, tym ściślej i surowiej powinnam je zachować względem siebie samej.

— Rozumiem cię — zawołałem — i niech Bóg mnie ukarze, jeżeli zerwę choćby jeden kwiatek z twojej męczeńskiej korony; mogą się jednak zdarzyć wypadki, czyniące cię wolną... życie samo, jakie prowadzi hrabia — przebac, jeżeli powracam do tego przedmiotu, naraża go więcej, niż każdego z nas.

— Tak, wiem o tym... Dlatego też, wierzaj mi, nie biorę do ręki żadnej gazety bez obawy. Myśl, że znajdę imię mojego męża w jakim krwawym procesie, imię człowieka, którego nazywałam mężem, zagrożonego śmiercią haniebną... Czyż mogę marzyć o szczęściu, gdybym go nawet przeżyła?

— Najprzód... i przede wszystkim, Paulino, byłabyś zawsze najczystsza jak i najgodniejsza uwielbienia kobietą. Czyż sam nie ukrył cię przed sobą samym, aby ani jedna plama z jego błota, ani jedna kropla krwi cię nie dosięgła? Lecz

nie o tym chciałem mówić, Paulino. W nocnej napaści, w pojedynku, hrabia może utracić życie... Straszne to, wiem o tym, nadziei szczęścia szukać w krwi przelanej, w ostatnim westchnieniu człowieka!... Lecz na koniec dla ciebie samej byłoby to może dobrodziejstwem Opatrzności, bo taki tylko koniec dałby ci zapomnienie.

— A co potem? — pytała Paulina.

— Potem! Paulino, człowiek, który bez żadnych warunków został twoim przyjacielem, opiekunem, bratem — czyżby nie zasługiwał na inne jeszcze miano?

— Lecz czyż ten człowiek dobrze się zastanowił nad zobowiązaniem, jakie by na siebie przyjął?

— Bez wątplenia, szczęście jego wtedy byłoby zupełne.

— Czy pomyślałeś o tym, że jestem wygnanką, że śmierć hrabiego nie zniesie tego wyroku, że obowiązki, jakie sobie naznaczyłam za jego życia, dla jego pamięci wykonywać będę zmuszona.

— Paulino! — przerwałem — Myślałem o wszystkim... Ten rok, który przeżyliśmy razem, był rokiem najszczęśliwszym w moim życiu. Mówiłem ci, że żaden rzeczywisty węzeł nie wiąże mnie do tego lub innego na świecie zakątka, kraj więc, w którym ty żyć zechcesz zostanie również moją ojczyzną.

— A więc! — odpowiedziała Paulina głosem, który lepiej niż obietnica szczęścia pieścił ucho moje — Jedź z Bogiem, powróć z tym samym uczuciem, z jakim odjeżdżasz, a potem powierzmy się Bogu i... dozwólmy działać przeznaczeniu.

Rzuciłem się jej do nóg i z uniesieniem tuliłem się do niej.

Tejże samej nocy opuściłem Londyn; około południa byłem w Hawrze i wzięwszy natychmiast konie pocztowe, o godzinie pierwszej po północy przybyłem do matki.

Nie zastałem jej w domu. Wyjechała z Gabrielą na wieczór jakiś. Dowiedziałem się, że była właśnie u lorda G., ambasadora angielskiego.

Zapytałem jeszcze, czy same wyjechały; odpowiedziano, że hrabia Horacy im towarzyszył. Ubrałem się prędko, wsiadłem do fiakra i kazałem się zawieźć do ambasady.

Gdy przybyłem, wiele osób już odjechało; było jednak dość osób, bym mógł wejść niepostrzeżony. Wkrótce ujrzałem matkę moją siedzącą na kanapie, a siostrę tańczącą z dzieciną radością. Pozostałem przy drzwiach; szukałem trzeciej osoby; sądziłem, iż musi znajdować się niedaleko. W istocie spostrzegłem go opartego o drzwi, na wprost których sam stałem.

Poznałem go natychmiast, był to ten sam człowiek, którego mi tak dobrze opisała Paulina, ten sam nieznajomy, którego widziałem przy blasku księżyca w opactwie Grand-Pré; ten sam, którego widziałem przez chwilę w zamku Burcy; twarz jego, jak zawsze, była blada i spokojna. Nie zmienił się zupełnie, tylko znana mi zmarszczka na jego czole pogłębiła się, prawdopodobnie wskutek troski i wyrzutów sumienia.

Po skończonym kontredansie Gabriela usiadła przy matce. Natychmiast poprosiłem służącego, aby powiedział pani de Nerval i jej córce, że ktoś czeka na nie w sali, gdzie złożono ich futra. Matka i siostra wydały okrzyk radości na mój widok.

Byliśmy sami, mogłem je uścisnąć. Matka niedowierzała swym oczom, przyciskała mnie do serca. Sądziła, iż zaledwie list jej mogłem otrzymać. Istotnie, dnia poprzedniego o tej samej godzinie byłem jeszcze w Londynie.

Wyjechaliśmy natychmiast.

Gabriela powiedziała słów kilka na ucho matce.

— Prawda! — zawołała — Hrabia Horacy!

— Będę jutro z rana u niego — odpowiedziałem.

— Otóż i on — zawołała Gabriela.

W istocie, hrabia spostrzegłszy, że panie opuściły salon, a widząc, że nie powracają, zaczął ich szukać i znalazł w chwili, gdy odjeżdżać miały.

Przyznaję, iż przeszedł mnie dreszcz śmiertelny na widok tego człowieka,

zbliżającego się do nas. Matka, wsparta na moim ramieniu, uczuła to drżenie; widziała też krzyżujące się nasze wejrzenia i z tym macierzyńskim instynktem, który odgaduje niebezpieczeństwo, zanim otworzyliśmy usta, przemówiła:

— Przepraszam cię, hrabio, oto mój syn, którego nie widziałyśmy od roku, a który dziś przybył z Londynu.

Hrabia się skłonił.

— Sądzę jednak, iż mimo to — przemówił głosem słodkim — wolno mi będzie odprowadzić panie do domu?

— Wątpię — odpowiedziałem, ledwo się powstrzymując — bo gdzie ja jestem, matka moja i siostra nie potrzebują innej opieki.

— Ależ to hrabia Horacy! — zawołała moja matka, żywo zwracając się ku mnie.

— Znam pana — odpowiedziałem tonem, w którym chciałem, by odczuł rzuconą sobie w oczy obelgę.

Uczułem, iż moja matka i siostra zadrżały; hrabia Horacy zbladł, pomimo to nie okazał żadnego wzruszenia. Ujrzał obawę mej matki i z tą zręcznością i znajomością życia, z jaką ja sam powinienem był postąpić, skłonił się i odszedł. Matka spojrzała za nim wzrokiem niespokojnym, po czym, gdy znikł, zawołała, pociągając mnie do przedsionka:

— Jedźmy! Jedźmy!

Zeszliśmy po schodach w milczeniu, wsiedli do powozu i powrócili do domu, nie zamieniwszy słowa.

ROZDZIAŁ XV

Serca jednakże nasze przepełnione były różnorodnymi uczuciami, i matka moja zaledwie powróciła do siebie, dała znak Gabrieli, aby się oddaliła do swego pokoju. Biedne dziewczę zbliżyło się do mnie i jak dawniej podało swe czoło do pocałowania, zaledwie jednak uczuła serdeczne moje uściśnienie,

rozpłynęła się we łzach. Wówczas serce mi się ścisnęło i przemówiłem do niej:

— Kochana siostrzyczko, nie miej żalu do mnie, lecz nie mogłem inaczej postąpić. Bóg kieruje wypadkami, a ludzie są im podlegli. Od śmierci mojego ojca odpowiadam przed Bogiem za los twój, czuwać muszę nad tobą i szczęśliwą cię uczynić.

— Tak, tak, drogi bracie, jesteś panem, uczynię, co rozkażesz, bądź spokojny. Lecz nie mogę się powstrzymać od bojaźni, nie wiedząc czego się lękać i płacę, sama nie wiedząc dlaczego.

— Uspokój się — odpowiedziałem — największe niebezpieczeństwo minęło już dzięki niebu, które czuwało nad tobą. Idź do swego pokoju i módl się serdecznie, a modlitwa rozproszy bojaźń i osuszy łzy twoje.

Gabriela ucałowała mnie i odeszła. Matka patrzyła za nią z niepokojem, a kiedy drzwi się zamknęły, zawołała:

— Co to wszystko znaczy?

— Znaczy to, matko moja — odpowiedziałem głosem pełnym uszanowania, lecz stanowczym — że to małżeństwo jest niemożliwe i że Gabriela nie może zaślubić hrabiego Horacego.

— Lecz ja już prawie dałam słowo.

— Podejmuję się je odwołać.

— Lecz, na koniec, powiedz mi dlaczego? Nie można przecież bez przyczyny zrywać tak korzystnego związku.

— Czyż sądzisz mnie, matko moja, tak nierozsądnym, bym bez żadnej ważnej przyczyny zrywał słowo dane?

— Powiedz mi ją przynajmniej.

— Niepodobna, niepodobna matko, jestem związany przysięgą.

— To prawda, że mówią wiele przeciw Horacemu, lecz nic dowieść nie mogą. Czyżbyś wierzył tym oszczerstwom?

— Wierzę oczom własnym, matko, widziałem!...

— Widziałeś?

— Słuchaj mnie, matko. Wiesz, jak kocham ciebie, jak kocham moją siostrę; wiesz także, iż jeżeli idzie o wasze szczęście, nie jestem zdolny lekkomyślnie przedsięwziąć niewzruszonego postanowienia; wiesz na koniec, że w okoliczności tak ważnej nie chciałbym przerażać cię kłamstwem, mimo to, droga matko, powtarzam ci i przysięgam, że gdybym był przybył za późno, gdyby to małżeństwo było dokonane, gdyby mój ojciec nie powstał z grobu, aby stanąć między swą córką a tym człowiekiem, gdyby Gabriela zwała się o tej godzinie hrabiną de Beuzeval, jedna tylko rzecz byłaby mi pozostała do wypełnienia: byłbym was porwał obydwie i uwiózł z dala od Francji, aby do niej nigdy nie powracać i na obcej ziemi szukać zapomnienia w ukryciu, w miejsce hańby, która by czekała w ojczyźnie.

— Lecz czyż nic mi powiedzieć nie możesz?

— Nie... Przysięgam!... Gdybym mógł wymówić jedno słowo, moja siostra byłaby ocalona.

— Jakież niebezpieczeństwo jej grozi?

— Dopóki żyć będę, żadne.

— Boże mój! Boże! Przerażasz mnie.

— Posłuchaj mnie, matko — przemówiłem — wszak jeszcze nie zaszło nic ważnego. Nie dałaś jeszcze stanowczego słowa, świat o niczym nie wie, domyślają się tylko, nic więcej?

— Dziś wieczorem po raz drugi dopiero hrabia towarzyszył nam.

— Dobrze więc! Wymyśl jakiś pozór, aby nie przyjmować nikogo, nie wyłączając hrabiego. Podejmuję się dać mu do zrozumienia, że jego starania są próżne.

— Alfredzie! — zawołała moja matka przestraszona — Bądź ostrożny w czynach, w słowie. Hrabia nie jest człowiekiem, którego oddalić by można bez dania ważnego pozorów.

— Bądź spokojna, moja matko, zachowam wszelkie konieczne wymagania. Co zaś do powodu, ten dam mu dostateczny.

— Rób, jak chcesz, jesteś głową rodziny i nie uczynię nic przeciw twojej woli, ale w imię nieba, rachuj się z każdym słowem, a odmawiając złagodź odmowę, o ile będziesz mógł.

Wziąłem świecę do ręki, aby się oddalić.

— Zapomniałam, że jesteś zmęczony drogą — zawołała — idź, odpocznij, jutro będzie dosyć czasu do namysłu.

Zbliżyłem się, aby ją uściskać.

— Obiecujesz mi, nieprawdaż, że oszczędzać będziesz miłość własną hrabiego?

— Daję ci słowo, moja matko — odpowiedziałem, ściskając ją po raz drugi i oddaliłem się.

Upadałem ze znużenia; toteż położywszy się spałem bez przerwy do dziesiątej z rana.

Skoro się obudziłem, znalazłem, jak się tego spodziewałem, list od hrabiego na stoliku. Nie sądziłem jednakże, aby zachował tyle spokoju i godności; list jego był wzorem grzeczności i przyzwoitości.

Panie!

Chociaż pragnąłem przesłać ten list jak najprędzej, nie chciałem odesłać go ani przez służącego, ani przez przyjaciela, lękając się zaniepokoić drogie panu osoby, które sądzę, iż wolno mi będzie uważać za bliskie i nieobojętne, pomimo tego, co zaszło wczoraj u lorda G.

Łatwo pan jednak pojdziesz, iż żądać muszę wy tłumaczenia słów wymówionych do mnie. Prosiłbym więc, aby pan był łaskaw naznaczyć godzinę i miejsce, gdzie byśmy się widzieć mogli? Sądzę, iż rozmowa nasza powinna być tajemna, jeżeli jednak pan sobie życzysz, przyprowadzę z sobą dwóch przyjaciół.

Zdaję mi się, iż dałem dowód, że uważam pana za brata i wiele bym cierpiał, gdybym miał wyrzec się tego tytułu, a w zamian uważać się za przeciwnika i nieprzyjaciela.

Hrabia Horacy

Odpowiedziałem natychmiast:

Panie hrabio!

Nie omyliłeś się pan, oczekiwałem jego listu i serdecznie dziękuję mu za ostrożności, jakie przedsięwziąłeś w doręczeniu mi takowego; że jednak ostrożności takie względem pana są zbyt czyste i chciałbym, ażebyś pan najprędzej otrzymał moją odpowiedź, odsyłam ją przez mego służącego.

Jak to sam pan widzisz, rozmówić się musimy i to, jeżeli się pan zgodzisz, dziś jeszcze. Wyjadę konno do lasu Bulońskiego, od godziny dwunastej do pierwszej przejeżdżać się będę po alei Niemej. Nie potrzebuję dodawać, iż pragnąłbym tam spotkać pana hrabiego. Co do świadków, jestem również jego zdania, iż są oni niepotrzebni w tym pierwszym spotkaniu.

Nie pozostaje mi, odpowiedziawszy na wszystkie punkty listu pana hrabiego, jak zapewnić go, iż pragnąłbym szczerze, aby uczucie moje dla pana wypływało z serca, nieszczęściem jednak postępowanie moje nakazane mi jest przez sumienie.

Alfred de Nerval.

Odesławszy ten list, poszedłem do mojej matki; istotnie, dowiadywała się ona, czy nikt nie był od hrabiego, a odebrawszy odpowiedź przeczącą, uspokoiła się zupełnie. Co do Gabrieli, ta prosiła i otrzymała pozwolenie pozostania dzień cały w swym pokoju. Po śniadaniu przyprowadzono mi konia. Wypełniono moje rozporządzenia, siodło było z olstrami, włożyłem w nie doskonale nabite pistolety, nie zapomniałem bowiem, że hrabia nie wychodził nigdy bez broni.

Przybyłem na schadzke o kwadrans na dwunastą. Przejechałem całą aleję wzdłuż, a powracając ujrzałem na jej końcu jeźdźca. Był to hrabia.

Zaledwieśmy się wzajemnie poznali, pośpieszyliśmy szybko ku sobie i

spotkaliśmy się na środku alei. Dostrzegłem, iż, równie jak ja, miał olstra u siodła.

— Widzisz pan — zawołał grzecznie, kłaniając się — iż nie mniej od pana pragnąłem naszego spotkania, bo obaj uprzedziliśmy oznaczoną godzinę.

— Co do mnie, zrobiłem sto mil jednego dnia, aby mieć ten zaszczyt, panie hrabio — odpowiedziałem, oddając mu ukłon.

— Sądzę, że przyczyna tego pośpiechu nie zostanie dla mnie tajemnicą, chociażby chęć poznania pana i uściśnienia jego ręki, skłoniłaby mnie łatwo do odbycia tej drogi w krótszym jeszcze czasie, gdyby to być mogło, nie mam jednak tego zrozumienia, by sądzić, że podobny powód był przyczyną, dla której pan opuściłeś Anglię.

— Masz pan słuszność. Interes naglący, obowiązki rodzinne, w których nasz honor był zagrożony, jedyną były przyczyną wyjazdu mego z Londynu i przybycia do Paryża.

— Wyrażenia, jakich pan używasz — odpowiedział hrabia, kłaniając się znowu z uśmiechem, w którym gorzycz przebijała — dają mi nadzieję, iż ten powrót nic nastąpił wskutek listu pani de Nerval, donoszącego mu o zamierzonym małżeństwie pomiędzy mną a panną Gabriellą.

— Mylisz się pan — odpowiedziałem — gdyż przybyłem jedynie po to, aby temu małżeństwu przeszkodzić.

Hrabia zbladł, zęby jego się zacisnęły; po chwili jednak odzyskał przytomność.

— Sądzę — odpowiedział — że pan oceniasz uczucie, które dozwala mi słuchać z zimną krwią jego odpowiedzi. Ta zimna krew, panie, jest dowodem, jak wielce pragnę tego związku, dlatego też jedynie pragnę doprowadzić badanie moje do końca. Czy zechcesz mi sam powiedzieć, jakie są powody tej niewytłumaczonej nienawiści, o której się wyrażasz tak otwarcie? Jedźmy, proszę, obok siebie i rozmawiajmy dalej.

Zwróciłem mego konia i jechaliśmy dalej, jak dwaj przyjaciele.

— Słucham pana — mówił dalej hrabia.

— Pozwól pan — odpowiedziałem — sprostować swój sąd o opinii, jaką mam o nim; nie jest to niewytłumaczona nienawiść, jest to wyrozumowana wzgarda.

Hrabia uniósł się w strzemionach, jak człowiek, którego cierpliwość się już wyczerpała; po czym potarł ręką czoło i głosem, w którym nie można było dostrzec najmniejszego wzruszenia, rzekł:

— Podobne uczucia są niebezpieczne i tylko po dokładnej znajomości człowieka, który je natchnął, wypowiedzieć je można.

— A skąd pan wiesz, że nie znam go doskonale? — odpowiedziałem, patrząc mu prosto w oczy.

— Jednakże, jeśli mnie pamięć nie myli, wczoraj spotkaliśmy się po raz pierwszy.

— A jednakże wypadek, albo raczej Opatrzność, zbliżyła już nas do siebie; wprawdzie było to w nocy i pan mnie nie widziałeś.

— Zechciej pan dopomóc moim wspomnieniom, nie umiem odgadywać zagadek.

— Byłem w ruinach opactwa Grand-Pré, w nocy z 27 na 28 października.

Hrabia zadrżał i ręką dotknął olster; zrobiłem to samo poruszenie; spostrzegł to.

— Cóż stąd? — odpowiedział, spuszczaając rękę.

— A więc, widziałem pana wychodzącego z podziemi i zakopującego klucz.

— I jakież postanowienie powziąłeś pan po tym odkryciu?

— Żeby nie dozwolić panu zamordować panny Gabrieli de Nerval, jakieś pan chciał zamordować Paulinę de Meulien.

— Paulina nie umarła?... — zawołał hrabia, wstrzymując konia i zapominając po raz pierwszy tej piekielnej zimnej krwi, która dotąd nie opuszczała go ani na chwilę.

— Nie, panie, Paulina nie umarła — odpowiedziałem również się

zatrzymując. — Paulina żyje pomimo listu, który do niej napisałeś, pomimo trucizny, którą jej przygotowałeś, pomimo trojga drzwi, które za nią zamknałeś, a które ja postarałem się otworzyć i otworzyłem kluczem, który widziałem, jak pan zakopywałeś i przyciskałeś kamieniem grobowym. Czy mnie pan teraz rozumiesz?

— Doskonale, panie — odpowiedział hrabia z ręką schowaną w olstrze — nie rozumiem jedynie, dlaczego, posiadając tę tajemnicę i dowody, nie denuncjowałeś mnie po prostu.

— Dlatego, że związany jestem przysięgą. Gdyby nie to, nie szukałbym z tobą pojedynku, bo nie byłbym zmuszony przed światem uznawać cię za uczciwego człowieka. Połóż więc swoje pistolety, bo mordując mnie — pogorszysz tylko swą sprawę.

— Masz pan słuszość — odpowiedział hrabia, zapinając olstra i kierując konia. — Kiedyż się bijemy?

— Jutro rano, jeżeli pan nie masz nic przeciwko temu.

— Wybornie, a miejsce?

— W Wersalu.

— Bardzo dobrze. O dziewiątej tam czekać pana będę z dwoma świadkami.

— Z panem Henrykiem i Makssem, nieprawdaż?

— Czy pan masz co przeciw nim?

— Tak; jeżeli już mam się bić z mordercą, nie chcę, żeby ten za sekundantów brał swoich współników... Inaczej więc to uradzimy, jeżeli pan pozwolisz.

— Ponieważ nasze spotkanie ma pozostać tajemnicą dla całego świata, każdy z nas wybierze sobie sekundantów pomiędzy oficerami, stojącymi garnizonem w Wersalu, nieznanymi, aby mogli zaświadczyć, że nie popełniono tam morderstwa. Czy pan nic nie masz przeciw temu?

— Przystaję z chęcią... A teraz jaka broń?

— Ponieważ szpada moglibyśmy poranić się tylko nieszkodliwie, co by nam

jednak przeszkadzało bić się dalej, sądę, iż wybrać musimy pistolety. Przywiezie pan swoje, ja również moje zabiorę.

— Do jutra o dziewiątej.

Skłoniliśmy się sobie po raz ostatni i wkrótce każdy z nas oddalił się w swoją stronę. Zwłoka, której żądałem, istotnie była mi potrzebna, ażeby zrobić porządek w moich interesach i, zaledwie powróciłem do siebie, zamknąłem się w moim pokoju. Nie tailem przed sobą skutku pojedynku, że mogę zginąć, bo znałem zręczność i zimną krew hrabiego. W takim razie musiałem wprzód zapewnić los Pauliny.

Przygotowania te przeciągnęły się do późnej nocy. Położyłem się o drugiej, rozkazawszy służącemu obudzić mnie o szóstej. Wypełnił punktualnie moje polecenie. Był to człowiek, na którego mogłem liczyć. Zaleciłem, aby list odwiózł sam do doktora w Londynie, w razie, gdybym został zabity w pojedynku. Na ten cel przeznaczyłem mu dwieście luidorów. Jeżeli zginę, użyje ich na drogę; w przeciwnym razie zachowa je jako zasłużoną gratyfikację. Wskazałem mu również szufladę, w której były listy z pożegnaniem do matki i siostry; prócz tego rozkazałem, ażeby miał przygotowany powóz pocztowy, zaprzężony do godziny piątej wieczorem; gdybym zaś o tej godzinie nie powrócił, aby się udał do Wersalu i tam się o mnie dowiedział. Wydawszy te rozporządzenia, wsiadłem na konia i o trzy kwadranse na dziewiątą byłem na miejscu, wraz z moimi świadkami. Byli to, jakeśmy się ułożyli, dwaj oficerowie od huzarów, zupełnie mi nieznani. Powiedziałem im tylko, iż honor zacnej rodziny był zagrożony, a oni najchętniej przystali na oddanie mi żądanej przysługi, nie pytając o nic. Francuzi są zawsze, stosownie do potrzeby, największymi gadułami lub też najlepszymi do sekretu ludźmi na świecie. Czekaliśmy zaledwie pięć minut na hrabiego i jego sekundantów. Wyszukawszy miejsce stosowne, oznajmiliśmy świadkom naszym warunki, prosząc ich o obejrzenie broni. Hrabia przywiózł pistolety Lepage'a; ja zaś Devisma, każdy o dwóch nabojach jednego kalibru. Zadecydowano, że los przeznaczy nam

miejsca i pierwszeństwo strzału; co do odległości, meta naznaczona była o dwadzieścia kroków. Los po dwakroć był przyjazny hrabiemu: mógł wybrać miejsce i miał pierwszy strzał. Stał naprzeciw słońca, wybierając z własnej woli pozycję najniegodniejszą, zwróciłem na to jego uwagę, lecz skłonił się, odpowiadając, że jeżeli los dał mu prawo wyboru, pragnął pozostać w tym miejscu; zająłem więc przeciwną pozycję. Wkrótce świadkowie zbliżyli się do nas, podając nam pistolety i kładąc drugie u nóg naszych. Hrabia powiła zaproszenie, abym pierwszy strzelał; odmówiłem. Wówczas każdy z nas uklonił się swoim świadkom. Wziąwszy pistolet w rękę, kolbą zasłoniłem twarz, lufa zaś spadała mi na piersi pomiędzy ramieniem a obojczykiem. Zaledwie to uczyniłem, nasi świadkowie skłonili się, a najstarszy z nich dał znak mówiąc:

— Zaczynajcie, panowie!

W tej chwili ujrzałem płomień, usłyszałem wystrzał pistoletu hrabiego i uczułem podwójne wstrząśnienie w piersiach i ramieniu: kula trafiła w lufę pistoletu i, zmieniawszy kierunek, przeszła mięśnie mego ramienia. Hrabia zdawał się zdziwiony, że nie upadłem.

— Jesteś pan raniony! — zawołał, zbliżając się ku mnie.

— To nic — odpowiedziałem, biorąc w lewą rękę pistolet. — Na mnie kolej, panie!

Hrabia rzucił pistolet wystrzelony, podniósł drugi i powrócił na swoje miejsce.

Celowałem z wolna i zimno, po czym oddałem strzał. W pierwszej chwili sądziłem, że chybiłem, bo pozostał nieporuszony; widziałem go podnoszącego pistolet, lecz zanim go ku mnie skierował, ogarnęło go drżenie konwulsyjne, upuścił broń, chciał przemówić, lecz krew rzuciła mu się ustami i padł bez życia: kula przeszła mu piersi. Świadkowie zbliżyli się naprzód do niego, potem do mnie. Pomiędzy nimi był chirurg; prosiłem, aby opatrzył mego przeciwnika.

— To zbyteczne. On już nie potrzebuje żadnych starań.

— Czy postąpiłem podług zasad honoru, panowie? — zapytałem.

Skłonili się na znak potwierdzenia.

— Bądź więc łaskaw, doktorze — zawołałem zdejmując surdut — przyłożyć jaki plaster na to zadraśnięcie, aby zatrzymać krew, gdyż muszę natychmiast odjechać.

— Ale — rzekł do mnie najstarszy z oficerów, podczas kiedy lekarz kończył mnie opatrywać — gdzie trzeba odwieźć ciało pańskiego przyjaciela?

— Ulica Bourbon nr 16 — odpowiedziałem uśmiechając się z jego naiwności. — Do pałacu hrabiego de Beuzeval.

Po tych słowach wsiadłem na konia i udałem się galopem do Paryża, aby uspokoić matkę.

ROZDZIAŁ XVI

— W osiem dni po wypadkach, które ci opowiedziałem — mówił dalej Alfred — siedzieliśmy w małym naszym domku na Piccadilly przy śniadaniu, kiedy Paulina, która czytała gazetę angielską, zbladła straszliwie, upuściła pismo i wydawszy okrzyk przerażenia upadła zemdlna. Zadzwoiłem szybko, nadbiegły służące i zanieśliśmy ją na łóżko, po czym co rychlej posłałem po doktora i pobiegłem przeczytać dziennik, który był przyczyną jej zemdlenia. Zaledwie rzuciłem nań wzrokiem, ujrzałem następujący wyjątek z „Kuriera Francuskiego”:

W tej chwili dowiadujemy się o szczególnym i tajemnym pojedynku, odbytym w Wersalu. Onegdaj, 5 sierpnia 1833 roku, z rana dwóch młodych ludzi, o ile się zdaje należących do arystokracji paryskiej, przybyło konno, każdy z osobna do naszego miasta. Jeden z nich udał się na odwach przy ulicy Królewskiej, drugi zaś do kawiarni przy ulicy Rejenta i prosili dwóch oficerów, aby im towarzyszyli na plac boju. Każdy z nich przywiózł z sobą broń; warunki spotkania były już ułożone i przeciwnicy postawieni o dwadzieścia kroków odległości dali ognia;

jeden z nich został na miejscu zabity, drugi, pomimo ciężkiej rany od kuli przeciwnika, która przeszła mięśnie ramienia, odjechał natychmiast do Paryża. Nazwisko jego dotąd niewiadome. Zabitym jest hrabia Horacy de Beuzeval!

Artykuł ten tym silniejsze wywarł na Paulinie wrażenie, iż nie była przygotowana do tej wiadomości. Od chwili powrotu nie wymówiłem imienia jej męża, a chociaż czułem potrzebę powiedzenia jej, że jest wolna, nie mogłem się jednak dotąd zdecydować, by to zrobić.

Doktor nadszedł w tej chwili. Powiedziałem mu, że gwałtowne wzruszenie spowodowało u Pauliny nowy atak. Weszliśmy razem do jej pokoju; chora, pomimo wody, którą nań pryskano i eteru, którym ją trzeźwiono, była ciągle zemdlona. Doktor postanowił puścić jej krew. Gdy jednak zaczął robić przygotowania do tej operacji, odwagi mi brakło i drżąc jak kobieta, uciekłem do ogrodu.

Uderzono mnie po ramieniu. Był to doktor.

— Paulina! — zawołałem, składając ręce.

— Odzyskała przytomność.

Powstałem, aby biec do niej; doktor mnie zatrzymał.

— Słuchaj — mówił dalej — dzisiejsze zemdlenie może pociągnąć za sobą ważne skutki, jeżeli nie będzie mieć zupełnego spokoju. Nie wchodź teraz do pokoju.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Ponieważ konieczne jest, aby nie doświadczyła żadnego wzruszenia. Nigdy nie badałem, jakie was łączą stosunki, nie żądam zwierzeń, nazywasz ją siostrą. Jesteś jej bratem czy nie, nie obchodzi mnie to jako człowieka, lecz obchodzi bardzo jako lekarza. Twoja obecność, głos twój nawet, mają na Paulinę wpływ widoczny...

— Czy jest niebezpieczeństwo? — zawołałem.

— Nie taję, że wielkie.

— Tak, tak — odpowiedziałem — nic się przed tobą nie ukryje, wyczytałeś

wszystko... Nie, to nie siostra moja, nie żona, nie kochanka! Nie; to istota anielska, którą kocham nad wszystko, której jednakże nie mogę dać szczęścia i która umrze w moich objęciach ze swą dziewiczą i męczeńską koroną!... Uczynię wszystko, co rozkażesz, doktorze; posłuszny ci będę jak dziecko, lecz kiedy powrócisz?

— Za kilka godzin.

Doktor uściskał mi rękę; odprowadziłem go do drzwi, a sam pozostałem nieporuszony w miejscu, gdzie mnie pozostawił. Na koniec ocuciłem się z odrętwienia, machinalnie wszedłem na schody, zbliżyłem się do jej drzwi, nie śmiejąc wejść: słuchałem. Sądziłem z początku, że Paulina śpi, lecz wkrótce łkania przytłumione doszły do mnie, już położyłem rękę na klamce, lecz przypomniałem sobie słowo dane doktorowi i aby go dotrzymać wybiegłem z domu, a wskoczywszy do pierwszej spotkanej dorożki, kazałem się zawieść do Regent Parc. Błądziłem po nim przez dwie godziny jak wariat wśród spacerujących, drzew i posągów, po czym powróciłem.

We drzwiach spotkałem służącą, biegła po doktora; Paulina dostała nowego ataku, po czym wpadła w malignę. Teraz już mnie nic powstrzymać nie mogło, wbiegłem do jej pokoju, ukląknąłem przy łóżku i wziąłem zwieszoną jej rękę, zdawała się nie spostrzegać mojej obecności, oddech jej był stłumiony, przerywany, oczy zamknięte, kilka słów bez związku wyrwało się z jej ust spieczonych. Doktor wszedł.

— Nie dotrzymałeś mi słowa? — przemówił.

— Niestety, nie poznaje mnie! — odpowiedziałem.

Uczułem, że na mój głos jej ręka zadrżała. Ustąpiłem miejsca doktorowi, zbliżył się do łóżka, wziął ją za puls i oznajmił, iż drugie krwi puszczenie jest konieczne. Jednakże mimo to gorączka się powiększała; wieczorem wywiązał się tyfus. Przez osiem dni i nocy Paulina była w strasznej malignie, nie poznawała nikogo, zdawało jej się, że jest zagrożona, wzywała pomocy; po czym gorączka zaczęła ustępować, lecz nastąpiło osłabienie nadzwyczajne i

zupełne wyczerpanie sił. Na koniec dziewiątego dnia, po śnie spokojniejszym, otworzyła oczy, poznała mnie i imię moje wymówiła. Co się ze mną wówczas stało, niepodobna opisać; upadłem do jej nóg z głową opartą o łóżko i płakałem jak dziecko. W tej chwili doktor nadszedł, a lękając się dla niej wzruszenia, żądał, abym się oddalił. Chciałem się oprzeć, lecz Paulina ścisnęła mą rękę, mówiąc głosem spokojnym:

— Idź.

Uśluchałem. Już osiem dni i nocy nie rozbierałem się. Uspokojony trochę co do stanu jej zdrowia, zasnąłem snem głębokim. W istocie choroba zapalna zniknęła; z końcem trzeciego tygodnia pozostało tylko wielkie osłabienie, lecz przez ten czas choroba chroniczna, którą już dawniej była zagrożona, rozwinęła się gwałtownie. Doktor poradził nam ten sam środek, który już raz przywrócił jej zdrowie i umyśliłem korzystać z ostatnich pięknych dni lata, aby się udać do Szwajcarii i do Neapolu, gdzie chciałem przepędzić zimę. Zawiadomiłem Paulinę o moim zamiarze; uśmiechnęła się smutnie z nadziei, jakie pokładam na tej podróży, lecz jak dziecko posłuszna, przychyliła się do mego życzenia. Ostatnich dni października udaliśmy się do Ostendy, przejechaliśmy jeziora Baden i Neuchatel, kilka dni odpocząwszy w Genewie, udaliśmy się do Oberland, przebyliśmy Brunnen i zwiedziliśmy Altdorf, gdzie nas spotkałeś, nie mogąc się z nami połączyć i Fluelen na brzegach jeziora Quatre-Cantons.

Rozumiesz teraz, dlaczego nie mogliśmy czekać na ciebie. Paulina widząc, że masz zamiar nam towarzyszyć, zapytała mnie o twe nazwisko i przypomniała sobie, iż cię kilka razy widziała u hrabiny M. i u księżny B. Na samą myśl widzenia cię twarz jej tak się zmieniła, iż przerażony rozkazałem wioślarzom odbić szybko od brzegu, chociaż wiedziałem, co będziesz myślał o mojej grzeczności. Kiedy się długo żyje razem, częstokroć jednocześnie przychodzą wspólne myśli: Paulina w tej chwili westchnęła, oczy jej napełniły się łzami i podała mi rękę, mówiąc:

— Alfredzie, jakiś ty dobry!

Zadrzałem, czując, iż odpowiada myślom moim...

— Znajdujesz, iż postępowałem tak, jak powinienem był postąpić? — zapytałem.

— Och, ty byłeś aniołem stróżem lat moich dziecinnych, który na chwilę uleciał ode mnie, a którego Bóg mi zwrócił w twojej postaci.

— Czyż w zamian za to poświęcenie nic dla mnie nie uczynisz?

— Niestety! Cóż już teraz zrobić mogę dla twojego szczęścia? — powiedziała Paulina — Kochać cię? Alfredzie, wobec nieba i ziemi, wobec otaczającej nas natury, wobec gór tych i jezior, wobec Twórcy tych cudów, powiadam ci, Alfredzie, kocham cię! Lecz nie mówię ci nic nowego.

— Tak, tak, wiem o tym — odpowiedziałem — nie dosyć jednak, że mnie kochasz, trzeba połączyć twe życie z moim węzłem nierozzerwalnym; trzeba, aby ta opieka, jaką uzyskałem jako łaskę, stała się moim prawem.

Uśmiechnęła się smutno.

— Skądże ten uśmiech? — zapytałem.

— Bo ty widzisz nadzieję na ziemi, ja ją widzę w niebie.

— Jeszcze? — odparłem.

— Kocham cię, Alfredzie! — mówiła dalej — To słowo powtarzać ci będę, dopóki usta moje wymawiać je będą mogły, lecz nie żądaj nic więcej i czuwaj sam nad tym, ażebym umarła bez wyrzutu sumienia!

Cóż miałem odpowiedzieć, co czynić wobec takiego przekonania? Przycisnąć ją do piersi i zapłakać nad szczęściem, które Bóg mógł być nam udzielić — i nad szczęściem, którego los nam poskąpił.

Sam już wątpić nie mogłem, że Paulina niknie codziennie. Nie doświadczyłeś i, mam nadzieję, że nie doświadczysz nigdy tych mąk straszliwych; nie będziesz wiedział, co to jest widzieć istotę ukochaną, konającą z wolna w oczach twoich; codziennie dotykać jej puls i czuć powiększającą się gorączkę, i mówić sobie za każdym razem, kiedy z uczuciem miłości i bóleści przyciska się do serca tę ubóstwianą istotę, że za tydzień, dwa, miesiąc może, to

dzieło Boskie, które żyje, myśli, kocha, będzie już zimnym, milczącym trupem w mogile.

Co do Pauliny, im więcej zdawała się zbliżać chwila naszego rozstania, tym więcej zdawały się potęgować skarby jej rozumu i serca. Miłość moja dodaje może poezji schyłkowi jej życia, ale, widzisz, ten ostatni miesiąc od chwili spotkania naszego w Pfeffers, do dnia, kiedy z tarasu hotelowego nad brzegiem Lago Maggiore rzuciłeś bukiet kwiatów pomarańczy do naszego powozu, ten ostatni miesiąc nie zniknie z mej pamięci. Przybyliśmy do Arona. Tam Paulina, lubo znużona, zdawała się ożywać pod ciepłym włoskim powietrzem. Nazajutrz jednak była tak cierpiąca, że bardzo późno wstać mogła, i zamiast udać się w dalszą drogę powozem, nająłem łódkę, aby się dostać do Sesto-Calende. W miarę jak zbliżaliśmy się do tego małego miasteczka, położonego u stóp wzgórz, pokrytych cudownymi gajami drzew pomarańczowych, mirtów i oleandrów, Paulina ożywiła się i spoglądała przed siebie z takim zachwytem, iż z pewną nadzieją zauważyłem, że jej myśli były mniej smutne.

— Czy sądzisz, że życie spędzone w tym cudownym kraju nie byłoby szczęśliwe? — zapytałem.

— Nie — odpowiedziała — myślę tylko, że tu mniej boleśnie byłoby mi umierać. O takim grobie zawsze marzyłam, na wzgórzu umajonym kwieciami i roślinami. Jeżeli umrę przed tobą, Alfredzie — mówiła uśmiechając się po chwili milczenia — i jeżeli będziesz tak dobry, aby po śmierci przedłużyć jeszcze starania, jakie ponosisz dla żyjącej, pragnęłabym abyś zapamiętał rozmowę naszą dzisiejszą.

— Paulino! Paulino! — zawołałem przyciskając ją do serca — Nie mów tak, zabijasz mnie!

— A więc nie — odpowiedziała mi — lecz chciałam ci to powiedzieć, mój przyjacielu, raz na zawsze, bo wiem, że nie zapomnisz nigdy tego, co ci powiem. No, no, nie mówmy już więcej... Zresztą czuję się zdrowsza; w Neapolu odzyskam siły. Od tak dawna życzyłam sobie go poznać...

— Dobrze, dobrze — przerwałem jej — wkrótce tam przybędziemy. Na zimę zamieszkamy w jakim małym domku w Sorrento lub Resina; tam odżyjesz pod gorącym niebem, a na wiosnę powrócisz do życia wraz z całą naturą... Lecz cóż ci jest, na Boga?

— O, jakże cierpię! — zawołała wijąc się z bólu i ręką przyciskając piersi — Widzisz Alfredzie, śmierć zazdrości nam nawet tych marzeń i zsyła mi boleść, aby mnie przebudzić.

Pozostaliśmy w milczeniu, aż do chwili wylądowania. Paulina chciała powstać, ale była tak osłabiona, że się kolana pod nią uginały. Zaczynało się ściemniać. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do hotelu. Wybrałem dwa pokoje połączone. Od dawna już stosunek między nami był święty, braterski: zasypiała w mojej obecności, jak pod okiem matki. Widząc ją bardzo cierpiącą i zwątpiwszy o możliwości wyjechania nazajutrz, wysłałem umyślnego pocztą po doktora Scarpo z Mediolanu. Powróciłem do Pauliny; leżała. Usiadłem w głowach jej łóżka. Zdawało mi się, iż pragnie o coś mnie się zapytać, lecz nie śmie tego uczynić. Po raz dwudziesty może dojrzałem jej wejrzenie, bacznie na mnie zwrócone, z wyrazem niewypowiedzianej wątpliwości.

— Czy żądasz czego? — zapytałem — Chcesz mnie o coś zapytać? Powiedz!

— O! Więcej niż o tym wszystkim, Alfredzie — odpowiedziała. — Tak jest, niepewność mnie dręczy, zabija niepewność straszna! Później się wyjaśni... Przyjdzie chwila, w której nie ośmielisz się kłamać, lecz ta godzina jeszcze nie nadeszła. Patrzę na ciebie, aby cię jak najdłużej widzieć... patrzę na ciebie, bo cię kocham!...

Wziąłem jej głowę i położyłem na moim ramieniu. Tak pozostaliśmy przez godzinę, czułem jej oddech, słyszałem gwałtowne uderzenia jej serca. Na koniec zapewniła mnie, iż czuje się lepiej, i żądała, abym się oddalił.

— Zostaw mnie, Alfredzie — szepnęła. — Kocham cię!... Lepiej mi... jestem szczęśliwa.

Wróciwszy do siebie, drzwi pozostawiłem odemknięte, aby biec do niej za najmniejszym szmerem, lecz zamiast się położyć, zdjąłem tylko wierzchnie ubranie i otworzyłem okno, aby się trochę ochłodzić. Balkon z mego pokoju wychodził na te cudowne ogrody, które dostrzegaliśmy z jeziora, zbliżając się do Sesto. Wśród gajów cytryn i oleandrów widniały z dala posągi, które przy świetle księżyca odbijały się jak cienie. Skutkiem wyteżenia wzroku zdawało mi się, iż jeden z nich zaczął ożywać i ręką wskazywał mi ziemię. Wkrótce złudzenie moje powiększyło się, zdawało mi się, iż słyszę głos wołający mnie; obie ręce podniosłem do czoła; sądziłem, że wariuję.

Zadrzałem, usłyszawszy moje imię wymówione po raz drugi głosem żalonym, powróciłem do pokoju nadsluchując i po raz trzeci usłyszałem słabszym już głosem powtórzone wołanie. Paulina mnie wzywała, wbiegłem do jej pokoju. Tak, to była ona, ona... umierająca; ona, która nie chciała umrzeć sama, a widząc że jej nie odpowiadam, wyszła z łóżka, by mnie szukać w chwili konania; znalazłem ją klęczącą na progu. Rzuciłem się ku niej, chciałem podnieść, dała znak, że chce o coś prosić. Lecz czując, że umiera, a nie mogąc już słowa wymówić, porwała za rękaw mej koszuli, odkryła go i zobaczyła ranę, zaledwie zagojoną, którą przed trzema miesiącami zrobiła mi kula hrabiego Horacego, a wskazując na nią palcem, krzyknęła i padając na wznak, zamknęła oczy.

Zaniósłem ją na łóżko, lecz zaledwie zdążyłem usta moje do ust jej zbliżyć, ostatnie oddała tchnienie.

Spełniłem wolę Pauliny, spoczywa w jednym z tych ogrodów otaczających jezioro, pod cieniem mirtów, pomarańcz i oleandrów.

— Wiem o tym — odpowiedziałem — przybyłem do Sesto w cztery dni po twoim odjeździe i modliłem się na jej grobie, nie wiedząc, kto w nim spoczywa.